Na str. 3-ej - K. Irzykowski: „Hejże na kibica"

Opłata pocztowa opłacona gotówką.

31 PAŹDZIERNIKA
Nr. 44 Rok II.
WARSZAWA 1937

Podbipięta

GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru **30** groszy

Redakcja: B R A C K A 10 m. 16, tel, 9,66-93 czynna jest w dnie powszednie (prócz środy) w godzinach 10—11 i 16—18.
Administracja: CHMIELNA 9 m. 14, tel.: 6,88-92 — czynna jest w dnie powszednie w godz. 9—11 i 18—19 w soboty w godz. 9—12.
Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł.
Konto P. K. O. Nr. 24545
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148.

Stanisław Miłaszewski

HEROIZM AUTENTYCZNY

(Centralny Okręg Przemysłowy dzisiaj)

Polska, tworząc planowe centrum gospodarcze odrabia zaległości dziejowe i uzdrawia swój organizm gospodarczy potężnym aktem woli.

Ten twórczy głos Polski współczesnej, wołający na koniec: — Stań się! — od spraw najpilniejszych tem wyraźniej brzmi, że objawia się czynem widomym na tle prymitywizmu gospodarczego niemal takiego, jaki nam opisuje „Genezis" w pierwszym dniu stworzenia.



Budowa tamy w Rożnowie.

Wicepremier Kwiatkowski niedawno scharakteryzował osobliwą — **pustkę tego kraju, prymitywnego gospodarczo, a równocześnie w rejonie południowym przeludniogo"** i stwierdził, że przystąpiono nareszcie do rozbudowy źródeł energii technicznej, czerpanej nietylko, jak dotąd, z węgla kamiennego ,ale również z gazu ziemnego i sił wodnych.

Miałem świeżo sposobność oglądać z wycieczką dziennikarzy roboty zainstalowane w Okręgu Cen tralnym. Tego co tam już dokonano i w czasie bliskim zrobić zamierzono nie umiem nazwać inaczej niż **heroizmem przemysłowym.**

Zdaje się, że jest to jedyny heroizm, którego Polska dzisiejsza potrzebowała najbardziej i którego właśnie los tak długo jej skąpił.

Lecz muszę się usprawiedliwić z użycia takiego patetycznego określenia: do górnolotnych frazesów żywi dziś przecież nasze społeczeństwo uzasadniony zdrowy wstręt.

Są słowa błyskotliwe, bo tak wyświechtane w brudnym celu, że z obrzydzeniem przyjmuje się je do uszu chociaż bzykają tuzinami. W ten rój wpędzono dzisiaj, niestety i heroizm... Zbyt często bowiem najopieszalsze chabety przeżuwały go jako sieczkę z uroczystości powszednich, zbyt często woziwody zaprawiały nim swoją ranną i wieczorną ciecz na sprzedaż. A tego żaden heroizm nie wytrzyma!

Życie jest jednak silniejsze od partaczy. Ono przywraca wartości istotne. A więc życie realne, wytężone w pracy, legitymujące się bez spornymi wynikami, zrehabilitowało nam nareszcie i heroizm.

Trudnoby się było obejść bez tego wyrazu patrząc, jak dźwiga się nareszcie z marazmu nasz ustrój gospodarczy, jak się uzdrawia nareszcie ten paralityk, bredzący od lat o „wyścigu pracy", a powłóczący budżetem bezradnie po wybojach najgorszych w Europie dróg i patrzący z tępym patologicznym spokojem na inwestycje cudzoziemskie tuż obok za ścianą.

*

Heroiczność polega na zwyciężaniu niebezpieczeństw i trudności. Jest bez przesady heroizmem gospodarczym to, że Polska zdecydowała się nadrobić swoje ospalstwo gospodarcze lat ostatnich odrazu jednym wielkim i dobrze obliczonym krokiem.

Oto jest głos fachowca na poparcie tych literackich uwag. Inż. Kaniewski w referacie zgłoszonym na tegoroczne walne zgromadzenie elektryków polskich w ogłoszonych drukiem materiałach tak pisze:

„...elektryfikacja we wszystkich państwach musi przechodzić kilka zupełnie wyraźnych etapów: elektryfikację lokalną, elektryfikację okręgową i wreszcie połączenie okręgów liniami najwyższych napięć...

„Trzeciego etapu elektryfikacji międzyokręgowej, czyli połączenia okręgów liniami najwyższego napięcia dotychczas nie mieliśmy i właśnie początkiem tej nowej ery jest budowa linii z Mościc do Starachowic. Gdyby nie specjalne warunki nie robilibyśmy tak gwałtownego skoku zarówno w elektryfikacji, jak też w przygotowaniu przemysłu do tej elektryfikacji".

Państwa o osłabionej klęskami ciągłości historycznej, za wątłe wskutek tego do żywiołowej ekspansji gospodarczej, muszą szukać pomocy w heroiźmie gospodarczym, w planowaniu posunięć koniecznych w wielkim stylu, aby zapewnić sobie grunt do przeskakiwania etapów rozwojowych.

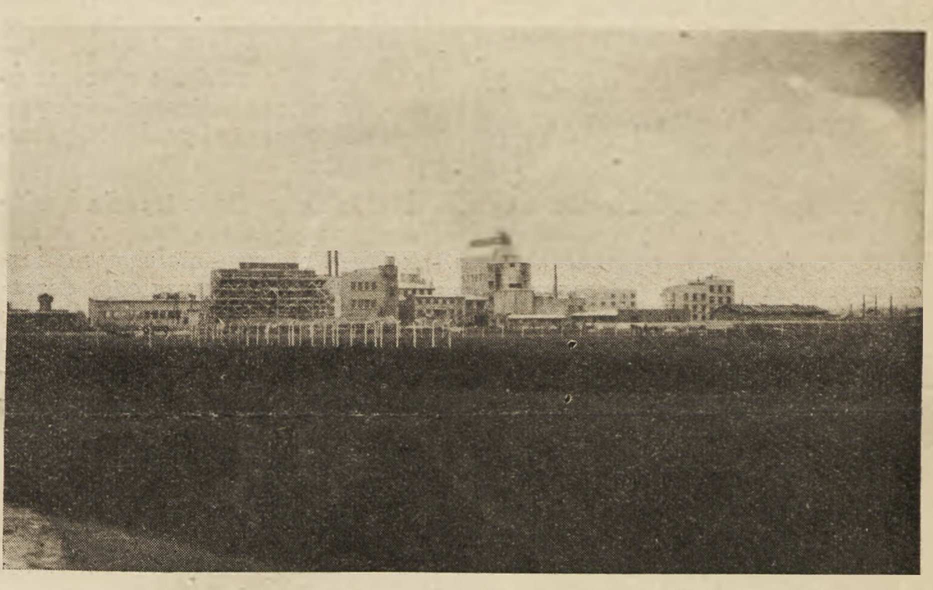
Kapitał prywatny ma cechy koczownicze. Przyciągnąć go na swoje tereny przemysłowe można tylko stworzeniem dogodnych warunków. Na zaopatrzonych przez państwo polskie w źródła energetyczne i linie komunikacyjne obszarach przedsiębiorczość prywatna na pewno się objawi, tym żywiej im ponętniej będzie się przedstawiała rentowność. Gdynia, ta oaza na naszej pustce gospodarczej nie inaczej powstała i rozwinęła się, przewyższając najśmielsze oczekiwania optymistów i drwiąc z wróżb pesymistów.

Centralny Okręg Przemysłowy to pomost między Polską uprzemysłowioną na sposób zachodni i Polską wschodnią, mniej gospodarczo rozwiniętą od państw dalej, niż ona na wschód wysuniętych.

Ożywcza i rehabilitująca radość ogarnia na widok jak idą przez pomost, jednoczący dwie Polski, konstrukcje napowietrzne stacji transformatorowej, te wysmukłe słupy przelotowe i odporowe z łańcuchami porcelanowych izolatorów, „zwisów", „zacisków odciągowych albo wieszakowych", „konstrukcji wspornych", obok „rur przepustowych dla **wąsa uziemienia** itd.

Cała armia nowych słów technicznych, doskonale z duchem polszczyzny związanych, odświeża nasz język, i nadaje mu akcent precyzji i energii.

Widok rozrastających się, lub nawet powstających w rekordowym tempie fabryk jest najskuteczniejszym lekarstwem na „kompleks niższości", którego ofiarami liczni Polacy są, a co ważniejsza, — być lubią.



Budowa fabryki w Niedomicach.

Linia najwyższego napięcia, łącząca Mościce ze Starachowicami jest częścią przyszłej magistrali, idącej od sił wodnych Dunajca do Warszawy. Będzie spełniała funkcje krwiobiegu w tym odrodzonym i rozrosłym organiźmie Polski, normalnie uprzemysłowionej.

Wykorzystanie energii wodnej na Podkarpaciu dla celów elektryfikacyjnych połączone jest z regulacją Wisły i jej najbardziej niesfornych dopływów. Budowa wielkich zapór wraz ze stworzeniem zbiorników służyć będzie zarówno do obydwu celów. Zbiorniki te powstrzymają ruch rumowiska górskiego, zasypującego Wisłę w postaci ławic piaszczystych, a równocześnie zapobiegną powodziom, sprawiającym milionowe straty mniej więcej co trzy lata.

Jak twierdzą wtajemniczeni, jesteśmy unikatem w Europie pod względem mizernego wyzyskania sił wodnych, lecz na szczęście przestajemy nim być. Już wkrótce elektrownie nasze nie będą wyłącznie uzależnione od paliwa węglogo na zachodnim pograniczu, w oddaleniu zbyt znacznym od centrum Polski.

Zbiornik wodny w Porębce już działa, a siedmiokrotnie od niego większy zbiornik w Rożnowie, który posiadać będzie 288 milionów metrów kubicznych pojemności, będzie skończony za 3 lata. Utworzy on jezioro o 20 klm. długości, szerokie zaś od pół do półtora kilometra.

Ilość wód w tym zbiorniku dorówna prawie normalnej zawartości Wisły na przestrzeni Warszawa — Sandomierz.

Główną częścią budowy zbiornika Rożnowskiego jest zapora, której kubatura wyniesie 380 tys. m^3 betonu, a wymiary 550 m długości i 50 m wysokości wraz z fundamentami.

Odkładając dokładny opis tej równie wielkiej, jak pełnej swoistego uroku inwestycji, powitajmy krótkim na razie opisem fabrykę celulozy w Niedomicach, już właśnie wykończoną.

Użyteczność celulozy jest nieoceniona. Od jedwabiu sztuczne-

(Dokończenie na str. 2-ej).

Jan Rembieliński

Pierwsze refleksje

Wiele pisze się dziś — i jeszcze więcej pisać się będzie — o powstającym Centralnym Okręgu Przemysłowym w Sandomierskim, o jego znaczeniu ze względu na rozwój gospodarczy Polski, na jej obronność itd. Dziś, pod pierwszym wrażeniem rzeczy widzianych, zanotować pragnę tylko parę, nieodparcie wprost narzucających się wniosków— politycznych.

*

Gdy się zwiedza elektrownię w Mościcach lub fabrykę celulozy w Niedomicach, gdy się ogląda budowę wielkiej zapory wodnej na Dunajcu lub nieskończone jeszcze kompleksy gmachów Państwowych Zakładów Lotniczych i Cegielskiego w Rzeszowie, hale hut stali szlachetnej w Stalowej Woli itd itd. — gdy w oczach naszych przeistacza się cały układ społeczny i gospodarczy wielkiej części kraju, zmienia się nawet jej pejzaż, do nie dawna sielski, dziś przecinamy liniami elektrycznymi, rozkopany dla zakładania rur gazociągów, mimowoli stają w pamięci różne „idejki", po dawnemu mające jeszcze kurs w Warszawie, i usiłuje się wyobrazić sobie zakłopotane na taki widok twarze ich kolporterów:

— Jakaż ta Polska niepunktualna! Jeszcze nie odbył się zapowiedziany „przełom", „wstrząs", od którego dopiero miała rozpocząć się nowa era, a tu tymczasem cała ogromna połać Rzplitej zmienia oblicze, przeradza się, rozpoczyna nowe życie!

W Warszawie jutro, tak jak wczoraj, jak przed rokiem i pięciu laty będzie słyszeć się i czytać wywody, że konieczny jest „wstrząs", „przełom", który na reszcie wyrwie naród z marazmu, obudzi entuzjazm, rozpocznie okres napięcia sil twórczych, potęgi i wielkości. A tu entuzjazm „pośpieszył się", można się zetknąć z nim i oglądać go tam, gdzie rzetelna, rzeczywiście użyteczna dla Polski praca zaś ani rusz nie daje się wykrzesać „zamawiaczam", chociaż dla wywołania go nadużywają coraz to większych słów, wyświechtują coraz to świętsze hasła.

*

Inny fakt znów, ustawicznie bijący w oczy przy zwiedzaniu Okręgu Centralnego, — to młody wiek pracujących nad jego tworzeniem. Wszędzie — z minimalnymi tylko wyjątkami — inżynierowie, to powojenni wychowańcy polskich politechnik, ludzie lat 30—40, a niekiedy młodsi nawet, stający do dzieła z całą, nie wyczerpaną jeszcze energią i zapałem. Widząc ich, czuje się wyraźnie , że to jest Polska żywa, prężna, twórcza, że to jest rzeczywisty obraz udziału pokolenia w budowaniu Rzplitej w jej dniu powszednim, tam w każdym razie, gdzie robota ta wykonywana jest z największym rozmachem, z najwyższym natężeniem. Czemuż r z e c z y w i s t o ś c i tej nie odpowiada układ sil politycznych w kraju, czemuż w tej jedynej dziedzinie generacja tu nie wycisnęła swego swoistego piętna pomimo to nawet, że częstokroć w tak pokaźnej liczbie zajmuje wysokie, odpowiedzialne stanowiska w hierarchiach władz państwowych czy partyjnych?

*

Trzecia refleksja, powracająca raz po raz, to konieczność uznania p l a n o w o ś c i w dziedzinie gospodarczej. Czyż bez planu ,narzuconego przez czynnik nadrzędny — Państwo, takie dzieło jak Okręg Centralny było by możliwe? Czy w ogóle — w konkretnych, naszych warunkach — zadanie uprzemysłowienia kraju mogło by być pozostawione i powierzone inicjatywie poszukujących zysku jednostek? Planową gospodarkę prowadził Lubecki, planową prowadzi Kwiatkowski. To, co dzieje się dziś w okręgu sandomierskim, jest planowości w gospodarstwie skutkiem i — uzasadnieniem.

Ale czy „planowość" równoznaczna jest z totalizmem? Tu nasuwa się obserwacja inna, dokonywana w ciągu całej trzydniowej wycieczki. Zarówno twórca Okręgu Centralnego, wicepremier, jak obecni tam jego współpracownicy: ministrowie, wiceministrowie itd. nie mieli w sobie nic z propagandowej teatralności, efekciarstwa, ani, naodwrót, popisowego również „koleżeństwa" wodzów i dostojników państw totalnych. Wręcz przeciwnie, w całym zachowaniu się, w każdym słowie, geście, widoczna była naturalność, poprostu, — o ileż bardziej zgodna z dobrą polską tradycją i przypominająca raczej bardziej wartościowe wzory obyczajów demokratycznego Zachodu. Wskazuję na to, gdyż w naszym położeniu zwłaszcza, przy nie okrzepłych jeszcze instytucjach i zwyczajach prawnych, typ psychiczny człowieka rządzącego decyduje w praktyce więcej o wiele, niż te czy inne ustrojowe hasła i doktryny. Czyż nie min. Kwiatkowski właśnie — jeszcze w okresie BBWR — dawał dowody zrozumienia, jak użyteczne może być dla grup rządowych istnienie zdrowej, obdarzonej właściwym zakresem swobód, opozycji?

*

Wracam z Sandomierszczyzny pokrzepiony, pełen optymizmu i wiary. Widziałem naród przy pracy. A trud wspólny około dzieła, którego użyteczność, nawet konieczność wszyscy uznają, to do prac nad zjednoczeniem narodu wkład rzeczywistszy i trwalszy, niżli wszelkie „deklaracje", „rozgrywki", „akcesy"...

Walenty Majdański

Ku tysiącleciu

„...widzę cały naród, przyjmujący jako regułę życia z całą mocą obowiązującej religii to, co jego wieszcze przeczuli i wygłosili na wygnaniu".

S. Szczepanowski „Myśli o odrodzeniu narodowym", tom I, str. 251.

Chrystus królem życia narodów.

W ostatnią niedzielę października obchodzi cały świat katolicki, a więc i naród polski — święto Chrystusa - Króla. Oznacza ono, że Chrystus ma przenikać życie wszystkich jednostek i wszystkich zbiorowości ludzkich.

Święto jest bardzo świeżej daty, liczy ledwie kilka lat życia, jest jednak najbardziej esencjonalnym wyrazem dążeń spółczesnego katolicyzmu. Bo trudno powiedzieć, że Chrystus jest królem tego, czym żyje świat dzisiejszy, ale za to, gdy patrzeć, czym pochłonięta jest spółczesna myśl katolicka, w jakim kierunku koncetruje się dynamizm integralnie katolicki, to widać, że katolicyzm przygotowuje dziś generalną ofensywę po to, by już jutro wcielić Ewangelię w całe życie świata.

Polska racja stanu.

Że takim będzie przede wszystkim jutro Polski, to gwarantuje droga, którą kroczy zdecydowanie całe dzisiejsze wykształcone młode pokolenie polskie. A jak głęboka owa praktyczność, tego nic tak nie znamionuje, jak śluby jasnogórskie tejże młodzieży. Ślubowania są przecież arcychrześcijańską formą zobowiązań, tak charakterystyczną da katolików, co chcą żyć po chrześcijańsku, lecz bohatersko — jako święci. Ale w ślubach naszej młodzieży jest coś więcej. Śluby publiczne składa nie tylko ksiądz, nie jeno mnich, składał je także rycerz średniowieczny, a składał je dlatego, że miał być całe życie człowiekiem walki. Przez jedne i drugie śluby zmusza się człowiek dobrowolnie do postawy heroicznej wobec życia, dlatego są one wyrazem najofiarniejszego wstrząsu woli, dlatego są zarazem dowodem wiary w moc nadprzyrodzoną Łaski: że można wszystko w Tym, Który nas umacnia, To też, nawiązując do dawnej wielkości Chrobrego i zarazem rzutując w przyszłość, którą ma być Państwo Katolickie Polskiego Narodu, stawia młode pokolenie maksymalny program polityczny narodowy i maksymalny jednocześnie program katolicki.

Lecz od młodych przejdźmy do palących problemów dnia, przed którymi stoją wciąż jeszcze bezradnie nasi wielcy i możni — smarkacze woli. Czy i tu najlepiej byłoby, gdyby katolicka była droga narodu? W tym celu skonfrontujmy z wymogami katolicyzmu choćby tylko dzisiejsze nasze elementarne konieczności państwowe, a więc i zgody narodowej, likwidacji żydostwa i komunizmu oraz spotęgowania produkcji.

Można w różny sposób stawiać diagnozę z rozbicia patriotycznych formacyj politycznych narodu, ale jedno jest pewne: wbito między nie klin masoński. Wybić go może tylko klin katolicki. Jakże prosi się tu o pośrednictwo sama natura Kościoła. I jakże się zaraz przypomina, co dał w swoim czasie na rzecz zgody narodowej i czym był w życiu unijnym Rzplitej w ogóle jeden nieutyłowany, ale za to jakże święty kapłan: ksiądz Skarga.

A czy możliwe byłoby dziś to przerażające żerowisko dla rozdętych ambicyjek, w imię jakoby państwa handlujących polityką, gdybyśmy mieli potężną opinię katolicką, przeto opinię nie karzełkowatego egoizmu, a ofiary ogromnej? gdyby opinia ta miała odwagę żądać od przywódców politycznych takich cnót, które są właściwe przeciętnemu katolikowi? Nie byłoby wówczas tego — już patentowanego u ojców narodu — wstydliwego oglądania chyłkiem, czy przeciwnik nie wyciąga czasem ręki do zgody „bo wtedy i my nie bylibyśmy od tego".

Atoli rozbicie u elit narodowych i szalejąca tamże neurarestenia woli jest niczym wobec przepaści, jaką wykopała u nas krzywda społeczna. Tu po drugiej stronie barykady stoi prawie całe chłopstwo i prawie cały świat robotniczy. Skonsolidowanie tych olbrzymich mas Polaków z garstką skłóconej, ale silnie uświadomionej narodowo — góry,może nastać dopiero wtedy, gdy wprowadzi się nieomal urzędowo miłość chrześcijańską od życia ustrojowego i praktyki prawnej państwa.

Podobnie wygląda trzecia konieczność: wypędzenie Żydów. Jeżeli tak długo nie rozumieliśmy niebezpieczeństwa żydowskiego, dowodziło to tego, że nasz katolicyzm był mocno ślepy, tolerując swego najistotniejszego wroga. Aliści katolicyzm żywy, czynny, jako z jednej strony jest na wskroś i najgłębiej antytalmudyczny, tak z drugiej strony wyznacza antysemityzmowi właściwe granice, czyniąc przez to walkę z żydostwem i trwale żywotną, i trwale rozumną, i obowiązującą aż do skutku.

Czwarta konieczność: maksymalne spotęgowanie produkcji — wiąże się ściślej niż wszystko inne, z praktykowanym katolicyzmem. Naród, który chce z całą swobodą stosować w życiu prawo miłości, musi być niezależny gospodarczo. Im bogatszy to naród, tym większą może mieć wolność do czynienia dobrze. Z drugiej strony — im bardziej naród kocha swych bliźnichziomków, tym intensywniej tworzy, produkuje, tym mniej pojmuje, że mogą być nadzy, i głodni i biedni. Produkcja i twórczość mogą mieć nawet nieograniczone możliwości, gdy nieograniczenie wzrasta czynna miłość chrześcijańska. Co więcej, tylko ta miłość wtacza bezwiednie i całkiem naturalnie zarówno produkcję, jak i twórczość w najzdrowsze i najsprawiedliwsze formy gospodarki społecznej. Tylko też miłość chrześcijańska jest najpotężniejszą; „najtańszą" i niewyczerpaną „siłą napędną" wszelkiej twórczej produkcji.

Tak więc katolicyzacja Polski wiąże się organicznie z żywą zgodą narodową, z istotną sprawiedliwością społeczną, z wyłączeniem żydostwa z życia chrześcijan, z uzbrojeniem gospodarczym państwa. Polska racja stanu jest dziś katolicka, tak jak była nią zawsze w przełomowych chwilach dziejów, a tak uderzająco w wiekach X, XIII, XIV, XVII, przez półtorawiecze niewoli, w czas Cudu nad Wisłą.

Program na lat 29.

Ale ów dogmat historiozoficzny rzuca się w oczy z szczególną siłą dopiero wtedy, gdy wybiec myślą w przód. Wówczas dostrzega się twardą i wspaniałą prawdę: możemy mieć świetną przyszłość, o ile pierwsi damy światu państwo narodowe i katolickie.

Zadanie to odpowiada naszej naturze i naszemu położeniu międzynarodowemu. Albowiem katolicyzm jest skończenie wolnościowy, zapewnia więc nam Polakom, całkowite wyżycie się; i katolicyzm jest zarazem skończenie totalny, dzięki czemu wyzwala w całej pełni wartości społeczne, a cóż my możemy przeciwstawić dwustu pięćdziesięciu milionom ludów Rosji i Niemiec, jak nie — naród ducha? Wyłącznie też trwała wyższość duchowa nas, Polaków, jako narodu - gospodarzy, może dawać nam stale skuteczny wpływ na mniejszości słowiańskie.

Aliści idea państwa katolicko - narodowego wybiega znacznie dalej: to idea uniwersalna i politycznie — wieczna. Wystarczy stwierdzić, że katolicyzm, wcielany w życie państwa narodowego, spożytkowuje harmonijnie wszystkie wartości społeczne, godzi wszystkie antynomie: naturę z nadnaturą, wiarę z wiedzą, autorytet z wolnością, jednostkę ze społeczeństwem, naród z ludzkością, człowieka z Bogiem, wszelką twórczość z moralnością, najwyższą kulturę ze świętością. Łatwo sobie wyobrazić, jaką rolę w dziejach świata odegra naród, propagator czynny tejże idei. Czyżby to my? Czyżby na to wszystko już był czas? To przecież program taki ogromny?

I tu się przypomina, że za lat 29 przypada tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce. Czyżby te 29 lat były po to, ażeby w ciągu nich zdążyć przygotować z Rzeczypospolitej państwo katolickie. Czyżby Opatrzność przynaglała do tego takimi koniecznościami, jak ta, że jeżeli tego nie uczynimy, to grozi nam po prostu zagłada? Odpowiedź jest jedna: w roku 1966 panować będzie w całym życiu narodu polskiego Chrystus - Król, albo nas wcale nie będzie.

Heroizm autentyczny

(Dokończenie).

go do bawełny zastępczej i wszelkich gatunków papieru wszystko z niej można otrzymywać. Wydajność przeciętna fabryki wynosi około 50 ton celulozy dziennie. Zatrudnia ona 300 robotników i 50 urzędników.

Ledwo część imponujących inwestycyj Centralnego Okręgu Przemysłowego została w dzisiejszym artykule wzmiankowana. Trzeba stalowej woli i niezłomnego ducha, ażeby przedsięwzięcie tak potężnej miary podźwignąć, ruszyć i pchnąć. Lecz to już leży w przeznaczeniach Polski, że jej europeizacja i zagospodarowanie nowoczesne zależy od energii i woli twórczej ludzi wyjątkowych, indywidualności przodowniczych, jak Tyzenhaus lub hetman Ogiński za Stanisława Augusta lub jak minister ks. Lubecki za królestwa kongresowego.

Dziś wicepremier Kwiatkowski, zwany twórcą Gdyni , przedsięwziął zagospodarować Polskę w sposób nowoczesny i przyciągnąć w kolisko magnetyczne owocodajnej pracy wszystkie rozporządzalne siły odrodzonego państwa. Według słów wicepremiera Okręg Centralny, będzie to wielka **szkoła współdziałania** niepoprawnych indywidualistów", gdyż przy tym wielkim dziele „**muszą** współdziałać różne resorty i różne czynniki publiczne i prywatne".

Muszą! Tak, to jest odpowiednie słowo.

KONKURS na najlepiej wydaną książkę

Otrzymujemy komunikat następujący:

RADA KSIĄŻKI ogłasza niniejszym konkurs na najlepiej wydaną książkę polską 1937 roku. Konkursowi podlegają w tym roku książki z zakresu literatury pięknej i działów pokrewnych, wykonane całkowicie w kraju. Pojęcie książki najlepiej wydanej obejmuje nie tylko wszystkie czyniki wykonania, lecz nadto stopień sharmonizowania szaty wydawniczej z treścią. Książki przeznaczone na konkurs powinny być zgłaszane do Rady Książki (Warszawa, Koszykowa 6-a m. 18, tel. 705-36) najpóźniej do dn. 31 stycznia 1938 r. Orzeczenie sądu konkursowego będzie ogłoszone najpóźniej do dn. 1-go kwietnia 1938 r. Rada Książki zastrzega sobie prawo urządzenia wystawy książek nadesłanych na konkurs w połączeniu z plebiscytem dla publiczności. Nagroda przewidywana jest jedna pod postacią artystycznie wykonanego dyplomu dla wydawcy i drukarza. Do składu sądu konkursowego zostali zaproszeni: min. August Zaleski, jako prezes i jako członkowie pp.: Aleksander Gutry, Bonawentura Lenart, Jan Parandowski, Kazimierz Piekarski, Adam Półtawski, Melchior Wańkowicz.

Jerzy Przywieczerski

W imię wiary i miłosierdzia

W dniu 14 października 1937 roku odbyło się uroczyste otwarcie Wystawy Misyjnej w Warszawie przy ul. Nowy Świat 64, która dała obraz olbrzymich wysiłków, jakie Zgromadzenie Księży Misjonarzy poniosło dla celów akcji katolickiej w świecie.

Otwarcia dokonał J. Em. ks. kardynał Aleksander Kakowski, w obecności zgromadzonych dostojników państwowych, przedstawicieli kleru świeckiego i zakonnego, oraz w obecności pierwszego sekretarza poselstwa chińskiego w Warszawie, p. Nietsou Wanga. Gości powitał Superior Księży Misjonarzy, ks. Jan Rzymełka.

Słusznie pisze ks. dr Edmund Krause C. M. w związku z niedzielą misyjną i wystawą:

— Idea misyjna wypływa z istoty Kościoła św. Dąży ona do rozpowszechnienia Prawdy i do stworzenia w krajach pogańskich takich warunków, w którychby się jak najpomyślniej mogła rozwijać. W naszych czasach, jesteśmy świadkami jej nadzwyczajnego wzmożenia się także u nas w Polsce. Wśród wszystkich sfer wzrasta zainteresowanie zagadnieniami misyjnymi — a zwłaszcza wśród młodej inteligencji. Świadczą o tym odbywające się co roku akademickie zjazdy misjologiczne — i wyczekiwany tegoroczny zjazd akademicki w Warszawie w końcu października.

Praca misyjna wypływa z nakazu Chrystusa, zawartego w słowach „nauczajcie wszystkie narody". Trwa ona od wieków, a w dzisiejszych czasach nabiera szczególnego znaczenia wobec propagandy rasistowsko - nacjonalistycznego niemieckiego neopoganizmu i czerwonej materialistycznej propagandy komunizmu.

Zresztą, kto przeżył rewolucję rosyjską i miał możność spojrzeć na rzeczywisty obraz hiszpańskiej wojny domowej, ten potrafi zdać sobie sprawę, jak wielkie znaczenie ma katolicka praca misyjna dla zapobieżenia krwawym wstrząsom, naturalnie o ile prowadzona jest przez światłych, ofiarnych i ideowych ludzi.

Toteż ukazują się liczne encykliki misyjne i społeczne, jak Maximum Illud, Rerum Ecclesiae, Quadragesimo Anno, Casti Connubii i wiele innych, a obecny Ojciec Święty został nazwany Papieżem Misji.

W życiu moim tak się złożyło, że od wczesnego dzieciństwa słyszałem od swojej matki opowiadania o żyjącym jeszcze wtedy misjonarzu ks. Janie Beyzymie T. J., którego imię tak było znane i otaczane taką czcią na Kresach. Bohaterski ten misjonarz przez kilkanaście lat opiekował się trędowatymi na Madagaskarze, aż wreszcie sam zarażony trądem zmarł w dn. 2 października 1912 r., zostawiając po sobie świątłą pamięć wśród tubylców.

Ks. Jan Beyzym pochodził z Ukrainy, toteż dziś, kiedy wszczęto nareszcie kroki o jego beatyfikację, na pewno kresowcy będą żądali, aby został on w przyszłości patronem naszych Ziem Wschodnich i symbolem ich wierności dla chrześcijaństwa.

Widziałem też ofiarną i bohaterską pracę naszych duchownych w okresie rewolucji bolszewickiej na Ukrainie w latach 1917—1921. Spotykałem misjonarzy w północnej Afryce i widziałem, z jaką czcią odnosili się do nich mahometańscy tubylcy. Podziwiałem ich poświęcenie i odwagę na terenie wojny domowej w Hiszpanii, tak po stronie gen. Franco, jak i wśród nieszczęśliwych Basków koło Bilbao.



Klerycy chińscy w Szunteh-fu.

Wśród wspomnień, odnoszących się do misjonarzy, jedno mi szczególnie wyraźnie utkwiło w pamięci. Było to spotkanie i rozmowa z młodym ks. Kazimierzem Skowyrą C. M., udającym się do Szuntehfu w Chinach, gdzie pracuje Polska Misja, która „przez swoją gorliwą pracę kapłańską i charytatywną w krótkim czasie dla propagandy polskiego imienit na Dalekim Wschodzie więcej uczyniła, niż mogliby uczynić dyplomaci lub korespondenci i pisarze, którzy by w tym celu byli wysłani na Daleki Wschód".

Ks. K. Skowyra C. M., jak się obecnie dowiaduję z „Wiadomości Misyjnych", zorganizował chińskich skautów w Szuntehfu, Kiulu, Szachopejdżan i w Dżyfan, dając im przez radość i pracę mocne podstawy moralne dla przyszłego samodzielnego życia.

Jak niegdyś, za czasów dawnej Polski, królowie nasi otaczali opieką chrześcijan na Wschodzie, np. w Persji, tak i dziś zmartwychwstała Polska otoczyła opieką i poparciem naszych misjonarzy w Chinach Północnych, którzy dzięki ofiarnej pracy ks. dr Wacława Szuniewicza, sławnego dziś w całych Chinach okulisty, oraz dzięki własnym wysiłkom zdobyli sobie mir i szacunek wśród społeczeństwa chińskiego.

Okręg w Szuntehu, położony w Północnych Chinach, a powierzony Zgromadzeniu ks. Misjonarzy św. Wincentego a Paulo z Krakowa, obejmuje 12.000 km kw. z ludnością 1,100,000, w tej liczbie 17,000 katolików. Polscy duchowni rozpoczęli tam pracę w roku 1931 i założyli już 88 szkół z 1,700 dziećmi, 144 Katechumenaty, w których 3,000 Chińczyków przygotowuje się do chrztu, oraz liczne szpitale i ambulatoria, przez które w przeciągu ostatniego roku przeszło ok. 145.000 chorych. Jest to ogromny zasiąg pracy, zważywszy znikome środki materialne, krótki czas pracy i małą liczbę polskich misjonarzy i misjonarek. Zresztą nie tylko w Chinach pracują Polacy misjonarze, można ich spotkać na całym świecie.

Toteż dziś, kiedy w dalekich Chinach sroży się krwawa wojna, pochłaniająca tysiące ofiar, zwiedzając Wystawę Misyjną myślą biegniemy do tych, którzy na odległym posterunku trwają na straży wiary i miłosierdzia, pracując jednocześnie dla dobra imienia polskiego.

Jan Malewski

Birobidżan

Żydzi nie objawiają jakoś zbyt wielkiego entuzjazmu dla idei sjonistycznej. Tymbardziej, że arabska „Nara" bardzo skutecznie stara im się tę ideę wybić z głowy. Jakby nie było, Palestyna nie pomieści wszystkich żydów. To też musimy myśleć o innych terenach, na które można by tych uciążliwych sublokatorów wyeksmitować. Oni sami bowiem wolą siedzieć, a nawet stać byle tylko u kogoś, a nie u siebie w domu.

Jednym z takich ewentualnych terenów, bardzo dogodnych dla emigracji żydowskiej z Polski jest Birobidżan. Mało o nim w Polsce wiemy, bo też z Polaków nikt bodaj tam nie był, a żydzi jakoś nie chcą o tym dużo pisać.

Swego czasu Ż.A.T. doniosła o utworzeniu dekretem WCIK'a autonomicznego żydowskiego obwodu w Birobidżanie. Ta sama Ż.A.T. doniosła, że w Moskwie odbył się w lipcu 1929 r. wiec ludowy, na którym tow. Smidowicz[1]) powiedział między innymi: „Obszar Birobidżanu jest większy, niż cała Francja. Ten obszar ma dużą przyszłość zarówno pod względem różnych plantacyj, jak i w zakresie rozwoju przemysłowego". Przesadził wprawdzie tow. Smidowicz, bo obszar Birobidżanu jest większy niż Belgia, od Francii jednak jest znacznie mniejszy (36150 km^2), ale zapał krasomówczy i temperament tłumaczą go najzupełniej.

Po tych pierwszych wiadomościach cicho było na ogół o Birobidżanie i sprawa jakby poszła w zapomnienie. A nie powinna. Można myśleć i pisać o innych koncepcjach (Madagaskar, Angola), ale o Birobidżanie trzeba pamiętać.[2])

Ostatnio podróżnik polski mjr Lepecki, będąc na Dalekim Wschodzie, zwiedził i Birobidżan i dzieli się swymi obserwacjami ze społeczeństwem, uważając to słusznie za swój obowiązek.

Nazwa Birobidżan pochodzi od nazw dwóch rzek miejscowych: Biry i Bidżanu, dopływów Amuru. Urzędowo kraj ten nazywa się: Żydowski Obwód Autonomiczny. Na południu graniczy Birobidżan z cecarstwem Mandżuko, od którego dzieli go Amur.

Zimy są tam mroźne ,suche, z małą ilością opadow śnieżnych, latem klimat jest gorący i wilgotny. Klimat jest więc zdrowy.

Posiada Birobidżan znaczne bogactwa mineralne: złoto, olbrzymie pokłady rud żelaznych, węgiel kamienny, magnezyt, porfiry, bazalty.

Blisko połowa powierzchni tego kraju jest pokryta olbrzymimi lasami, których osobliwością są liczne drzewa owocowe (brzoskwinie, jabłonie, śliwy, grusze) rosnące tu w stanie dzikim.

Można tam uprawiać wszystkie rośliny udające się w Polsce, a prócz tego jeszcze ryż.

Cały obszar przecina wielka kolej transsyberyjska.

W chwili ogłoszenia dekretu o utworzeniu autonomicznego Okręgu Żydowskiego ludność tego kraju liczyła przeszło 34 tysiące osób, przeważnie Rosjan i Ukraińców, czyli że gęstość zaludnienia była mniejsza niż 1 mieszkaniec na km^2.

Mimo tak doskonałych warunków naturalnych dla kolonizacji oraz mimo znacznego poparcia rządu sowieckiego emigracja żydowska do tego kraju rozwija się bardzo powoli. Do roku 1936 przybyło tu około 13—15 tysięcy Żydów. Liczba ludności w lecie 1936 roku wynosiła 62—63 tysiące, a więc żydzi stanowili około 25% ogółu mieszkańców. Imigranci rekrutowali się przede wszystkim z Białorusi i Ukrainy sowieckiej. Byli jednak i dzielni koloniści z zagranicy. W r. 1932 np. przybyło tam nawet 30 żydów z Polski. Trzeba przy tym zaznaczyć, że koloniści żydowscy otrzymali od rządu związkowego znaczne przywileje. Kołchozy ich zostały zwolnione na przeciąg lat dziesięciu, począwszy od 1 stycznia 1934, od od dostarczania państwu ziarna i ryżu. Rząd sowiecki zakłada tam liczne fabryki, szkoły, szpitale. W budżecie na rok 1936 przeznaczono na inwestycje w Birobidżanie 50 milionów rubli, nie licząc kredytu długoterminowego.

W stolicy Obwodu, mieście Birobidżan, istnieje teatr żydowski, kino, biblioteka z 35 tysiącami tomów, wychodzą dwie gazety.

Jednym słowem miejsca dość, klimat zdrowy, kraj bogaty, „chuliganów" nie ma.

A więc jazda żydy do Birobidżanu!

[1]) Zrusyfikowany Polak, wiceprezydent Związku Sowieckiego.

[2]) Mjr. Mieczysław Lepecki. Birobidżan, Żydowski Obwód Autonomiczny w Z.S.S.R. Warszawa 1937. S. 44.

CZYTELNICY!
WE WSZYSTKICH KAWIARNIACH
ŻĄDAJCIE „PODBIPIĘTY"

Karol Irzykowski

„Hejże na kibica"

I.

Czytając artykuł Skiwskiego „Klerk - kibic" w pierwszej chwili miałem wrażenie, że Skiwski obraził się o totalizm, o którym w moich glossach do elukubracji Alfreda Łaszowskiego („Analiza łez krokodylich") nie dość czołobitnie się wyraziłem. Moja działalność klerkowska może mu się przedstawia jako sabotaż, a może jest zazdrosny — o kogo? Jeżeli o Łaszowskiego, odstępuję Skiwskiemu duszę tego Alcybiadesa wraz z dobrodziejstwem inwentarza. Aluzje Skiwskiego do mojego sokratesostwa napełniają mnie pewną obawą. Wprawdzie nie mamy jeszcze totalizmu w konstytucji, ale dziś warto się bać na zapas. Błogo tym, którzy będą sami totalizować, ale ja najpewniej będę tylko totalizowanym. Tego nie lubię. Śni mi się po nocach Skiwski jako totalizator czy totalnik, każe mi wypić kieliszek cykuty. I zdaje mi się, że nie tylko prawica ale i lewica polityczna poda mi kielich taki sam, lub jeszcze większy. Tak-em się wykierował ze swoim klerkostwem. Dwa kielichy! Oj jak ja to wytrzymam, mam taki delikatny żołądek.

II.

Ale zapewne się mylę. Wszak Skiwski ujmuje się przeciw Irzykowskiemu także za socjalistami i za wszelkimi politykami — jest mścicielem honoru o wiele rozglejszego, bo I-go „drażni każda postawa czynna". I. jest kibicem — ten tytuł bierze Skiwski z mojej glossy, która opiewa:

„On, Łaszowski jest jak zapalony gracz, który po dłuższym kibicowaniu spycha partaczy z krzeseł i gotów jest prowadzić dalej partię każdego z partnerów".

Właściwie już w tej glossie, gdyby ją Skiwski zechciał wziąć lojalnie, znalazłby moją odpowiedź, nawet nie bardzo chytrą. My intelektualiści, literaci, dziennikarze, skazani jesteśmy na kibicowanie przy głupich, partackich partiach. „Głupota siedzi na wysokim koniu a rozum i rozsądek bieżą przy niej jako giermkowie po obu bokach, aby ją wsadzić napowrót na siodło, gdy kiedy spadnie" (Hebbel). Robimy — glossy, wymyślamy głupstwom teorie, ideologie i inne szminki, czyli — wracając do szachów — przesadzamy się w pomysłowości uwag. Lecz główni partnerzy zamiast się na tym poznać, ze wstydem ustąpić miejsc i powiedzieć: więc niech panowie kibice zagrają! — partnerzy, choć skwapliwie korzystali z rad kibiców, w końcu zazdrośni spikają się razem i chcą kibica obić. Pod tym względem Skiwskiemu sekundować będą i p. Rzymowski z „Dziennika Ludowego" i p. Wasowski z „Epoki" i nawet p. Piasecki z „Prosto z mostu", dobrowolni giermkowie koników różnej barwy. Bo wszyscy oni stali się już duszami politycznymi i chcą w szachy polityczne „rżnąć" nie grać. Gdyby był Skiwski czytał uważnie dwa moje artykuły w „Pionie" (zacytowane w glossach), dowiedziałby się że piątym i ostatecznym stanem, który czeka swojej doby historycznej, jest klerk. Do tej pory będzie on kibicem, bo zawsze t. zw. niższe stany najprzód tylko kibicowały.

Słowa „klerk" używam niechętnie. W czasie kiedy z ramienia „Europy" (pod redakcją St. Baczyńskiego) rzuciłem i forsowałem inicjatywę do kongresu intelektualistów w sprawie pokoju — **mój** czyn! — wyraz „klerk" był jeszcze nieznany. Przyjąłem go później tylko dlatego, że stał się popularny, że na około niego skupiły się pewne skojarzenia, z których trzeba korzystać.

Powie jednak Skiwski, że nikt nie broni panu intelektualiście, p. Irzykowskiemu, grać swoją partię, wystąpić w roli partnera zamiast kibica. O, za pozwoleniem! Nie chcę wchodzić na pólko polityczne, ale oto inne. Napisałem swego czasu książkę teoretyczną o filmie, podobno dobrą, bo ją jeszcze dziś cytują. Ale czy ktokolwiek z kiniarzy, z finansistów, lub z figur urzędowych zajmujących się filmem powiedział: Niechże Irzykowski wylezie z teorii i pokaże nam praktykę, niech popróbuje sam, niech reżyseruje, niech rządzi, niech dyryguje, niech czyni! Nie, tego nikt nie zrobił. Partolili, klecili jakieś obskurne filmy, spaskudzili na nic „Pana Tadeusza", a potem — potem owszem Irzykowski był zapraszany, ale na premierę takiej szmiry, aby pochwalił, aby zareklamował, aby swoimi argumentami, swoją sofisterią uciszył głosy niezadowolonych! A czy nie tak samo jest z teatrem? Trochę się na nim znam, dałem tego dowody, a jednak wolno mi tylko kibicować, pisać genialne recenzje. I tak dalej...

Dalibóg, nigdy o tym nie mówiłem i nigdy nie wybuchałbym w te niewczesne pretensje, tym bardziej, że wolę być człowiekiem spokojnym i dziś czuję się już za starym na eksperymenty ,chcę już tylko kończyć a nie zaczynać, ale p. Skiwski poruszył mi wątrobę i sprowokował. Rzekł, iż mam zbyt bujną „wyobraźnię przeszkód" — tchórzostwo? niedołęstwo? Znam panie Skiwski także inwentarz różnych pro i contra, którymi różni łokciowcy i tupeciarze nie tylko upiększają swoje powodzenia, lecz jeszcze nadto urągają bezbronnym rywalom. Znam, a p. Skiwski chciał by mi i tę pociechę zohydzić!

Ludzie, rzucając bliźniemu kłody pod nogi, dodają: to nie kłody, to twoja bujna imaginacja!

III.

Skiwski przegorliwie swoją sikawką gasi pożar, który jeszcze nie powstał. Zepewne robi to dla dobra Polski, zapewne jest u nas tyle hamletyzmu, studiów, myślenia, że młodzież się deprawuje, zapewne minister oświaty nie życzy sobie, żeby młodzież rozważała pro i contra. Więc nuże za wczasu oblać wodą zagrożone miejsce. Więc prześladuje mnie nie gorzej od Słonimskiego. Tamten biegał za mną i krzyczał: bez talentu! bez talentu! A ten czyha, aby zawołać wyrafinowanie: bez ideału! bez ideału! bez przydziału! Ani totalista, ani socjalista, nawet nie bendzista, nawet nie Sokrates! kaleka! nie naśladujcie go! Zapiszcie się gdziekolwiek, nie bądźcie jako ten oto poganin i celnik!

Bzdury mistrzu Skiwski! Dawniej to się nazywało — szufladkowaniem i było opatrzone znakiem ujemnym. Dziś, dzięki wpływowi bolszewizmu, szufladki się zrehabilitowały, wnet będą z urzędu pokrapiane święconą wodą. Szufladki, szufladki kochane, nie zabijajcie mnie, dajcie mi żyć bez szufladki.

Na nic by się nie przydało dawać Skiwskiemu słowo honoru, że tak źle, tj. tak dobrze, ze mną jeszcze nie jest, że jakieś tam nie notowane przez p. Skiwskiego, ideały plączą się za mną, on jest uparty i nie czyta, a jeśli czyta, to nie rzuca na szalę, bo ma o mnie swoją koncepcję a priori, a gdy ma koncepcję, to szaleje i tokuje, dla niej gotów poświęcić i prawdę i przyjaźń: niech przepadnie sprawiedliwość, niech się stanie artykuł!

Strachy na Lachy, mistrzu Skowski! to nie jest prawda, żeby zbytek skrupułów i wątpliwości powstrzymywał kiedykolwiek kogokolwiek od działania. Jeżeli kto nie działa, to czasem wskutek pewnych, b. hipotetycznych zatamowań w mechaniźmie woli, a w gruncie rzeczy wskutek pewnych ogólnych czy indywidualnych stosunków, nigdy zaś wskutek argumentów. Argumenty nie są właściwym motorem, one tylko nadają barwę działaniu, czyn zaś sam to questio facti. Więc obawa, że gdy kto za dużo myśli, to działać nie będzie, jest płonna, więc z myślenia wywodzić jakąś postawę przeciwdziałaniową, to jest prymitywne. „Wszyscy mają dość energii na to, na co są rzeczywiście zdecydowani, czego rzeczywiście chcą. Jeżeli zaś ktoś czegoś nie czyni, co mu jest niby pożądane, to w 95 wypadkach na 100 ma on po temu inne powody i przeszkody. Brak woli odnosi się do czynów pozornie chcianych i narzuconych: przez tradycję, przez obowiązki, przez stosunki, przez społeczeństwo". („Czyn i słowo" str. 111/2 — sam Skiwski powołuje się na tę książkę, wspominając o moich glossach do bohaterszczyzny).

Cicero w pewnej fazie swego życia pół roku nie decyduje się co robić, ale co innego go wstrzymuje, nie hamletyzm. Cezar przed przejściem przez Rubikon całą noc rozmyślał, a potem przecież swoje zrobił.

A myśleć i pisać — czy to nie jest czyn? A krytyka? Zapytacie: krytyka, dobrze, ale krytyka musi być w imię czegoś. Otóż według mnie krytyka powinna działać nawet wtedy — i wtedy jest najpotrzebniejsza choć najtrudniejsza — gdy sobie jeszcze swych celów uświadomić nie może. Gdy czuje różne „nie", a jeszcze nie czuje „tak". A są takie epoki, obfite lecz chaotyczne.

Dobrze pojęty nietzscheanizm i irracjonalizm — to podniecać obie strony, podbijać je w górę, napełniać je najlepszą treścią, a śmiecie wyrzucać z głów. Uczynić świat dramatycznym. Nie linia najmniejszego oporu i największego wymłotu plewy. Na ogół taka krytyka nazywa się właśnie kulturą. Do mnie należy to co ludzie myślą, piszą i mówią, a nie to co czynią. Do mnie należy to, co jest między wierszami czynów, należą owe zatory woli, kiedy wszystko jest jeszcze raz in statu nascendi.

Rozwalić Skiwskiemu jego argumenty — to jest w każdym razie czyn **lepszego gatunku** niż rozwalić Wasiutyńskiemu głowę. Dlatego odpisuję jak na klerka przystało: zygzakiem, zgrywając się, odsłaniając swoje słabe strony i biorąc na siebie cały ciężar przysłowia: qui s'excuse s'accuse. Czuję dramat, a nie zwycięstwo.

IV

Lecz szanowny a groźny mój przeciwnik stoi przed swoją bramką i śmieje się, że — on to przecież sam pisał: on to wie! on przewidział! nawet on sam jest klerkiem! bo i dyktator może być klerkiem! Myśmy to zaanektowali, my to spożytkujemy!

Otóż najpierw: zwykły namysł przed czynem to jeszcze nie klerkostwo, jak myśli Skiwski. (Trzeba było poczekać na moją książkę). Szachista, inżynier, wódz podczas bitwy, adwokat, lekarz, filozof — to jeszcze nie klerk, to dopiero wstęp, przynajmniej w moim rozumieniu. Specyficzny jest moment inny, którego sekret chciałby Skiwski przedwcześnie wydrzeć ze mnie, ale to mu się nie uda. Po co mu! Przecież on i tak sam wszystko wie. Tyle powiem, że klerkostwo, moje, nie Bendy, to nie tylko kwestia metody, ale także kwestia pewnego materiału, czy nawet — materii.

Ktoś patrzący z ubocza dziwiłby się, na czym właściwie polega kontrowersja między nami. Ja się też dziwię. Zawsze uważałem ataki Skiwskiego na mnie za niepotrzebne. Ma on w swoim szale czynu lucida intervalla, ale korzysta z nich nie po to, żeby się ocknąć lecz żeby swoją przyjacielską furię przeciw mnie świeżą krwią zasilić.

Sedno tego ataku na mnie — sedno nr. 1 — jest takie: Irzykowski otacza czyn wątpliwościami; bardzo dobrze; ale on nigdy ich nie kończy, ja zaś, Skiwski, w pewnym miejscu je kończę, ucinam, i przystępuję do czynu. Czyn musi być przeto jednostronny, zawierać w sobie ryzyko, być do pewnego stopnia tragiczny. A tego biedny I. nie wie! a choćby i wiedział, wykręci na co innego, taki ma instrument w głowie.

Że Skiwski jest bardzo tragiczny z tą swoją koncepcją, i że sumienie klerkowskie mu jednak dokucza, o tym świadczyłoby jego ciekawe słuchowisko „Diabeł". Diabeł — według jego własnej interpretacji — to kwintensencja antibiologicznych jałowych dążeń w człowieku, brak instynktu, brak „poczucia jakości", nadmiar racjonalizmu itp. — słowem Irzykowski do piekielnej potęgi podniesiony. Ludzie zwykli nie czują diabła, dopiero kobieta, stuprocentowa kobieta, poznała się na nim, odepchnęła go, aż rozpłynął się w nicość, z której powstał.

Otóż gdyby chodziło tylko o to, czy witaminowy p. Skiwski tymi argumentami mnie zaskoczył, mógłbym się powołać na książkę, którą rozmyślnie powyżej zacytowałem, na „Czyn i słowo" i to na tej samej stronicy. Tam jest mowa o haśle „ryzyka metafizycznego", które podał uwielbiany przeze mnie Jan Maria Guyau w dziale „Moralność bez sankcji i bez obowiązku", myśliciel, z którym nawet Nietzsche nie dał sobie rady, choć próbował mu przeciwstawić swoją moralność —ach, właśnie biologiczną. I zasada potrzeby jednostronności też nie jest mi obca, wymieniam ją w glossach do diatryby Łaszowskiego.

Ale jeżeli „ryzyko metafizyczne", to nie wolno go spartaczyć, ma się tylko jedno życie. I może moja „wyobraźnia przeszkód" raczej stąd pochodzi? Z poczucia odpowiedzialności, poczucia porządku, sprawiedliwości, piękna? Tak, bo tu się można przerazić i popaść w paraliż niepewności albo w setki błędów — pod promieniami niesamowitej lampy metafizycznej. I Skiwskiemu jako niby — klerkowi powinno by to właściwie dogadzać, powinien mnie za to pochwalić. Nie wierzę jednak, żeby „tą (moją) drogą był **wszelki** czyn skompromitowany a priori"—to nieprawda jak wnet wykażę. I Skiwski zamiast powiedzieć, np. że ja chcę za dużo, za obszernie, za wysoko, woli małodusznie orzec: I. nie chce niczego!

Jeżeli wszelki czyn pochodzi z **amputacji,** to Skiwski, metodą polską, w razie choroby palca ucina całą nogę. To łatwe, a na wojnie konieczne. Ja zaś podwiązuję naczynia krwionośne niżej, metodą amerykańską *) oszczędzam jak najwięcej, ucinam jak najmniej. To znaczy uwzględniam wątpliwości i przesłanek jak najwięcej, a nawet one mi doradzają, dostarczają środków, stanowią tworzywo czynów. Oczywiście mówię tu o mojej teorii czynów, nie o mojej osobistej praktyce, która może być parodią teorii. Działanie po namyśle jest może powolniejsze lecz za to obfitsze **i wybredniejsze w celach i środkach.** Natomiast Skiwski prędko się w swoich skrupułach zaspokaja i uspokaja, to widać po jego artykule. Jego diagnoza co do mnie jest polska, i to nawet — młodopolska.

(Dokończenie nastąpi).

*) Biorę analogię z dentystyki. Dawniej wyrywano całe zęby przy lada bólu, dziś — metoda amerykańska — dentyści starają się oszczędzić nawet pniaki.

Pogawędka Podbipięty

Pilna sprawa

— Teraz ja wam z kolei opowiem — odezwał się milczący dotąd pan Julian — o swojej rozmowie z sędziwą matroną, która wykształciła dwóch synów i trzy córki. Pracuję z tą damą w jednej instytucji. Niedawno zagabnęła mnie:

— Widział pan już mojego zięcia?

— Nie, jeszcze nie widziałem, ale słyszałem, że panna Zosia wyszła świetnie za mąż.

— O, tak — potwierdziła z dumą — mój zięć — to człowiek dobry, miły, wyrozumiały. Wie pan? Przed ślubem z Zosią żył przez sześć lat z pewną mężatką. Jak szlachetnie, jak ładnie się z nią rozstał! Wszystkie kobiety zresztą, z którymi się stykał, nie mają słów dla niego. To jest prawdziwy dżentelmen.

— Co pani mówi: przez sześć lat pani zięć żył z jakąś mężatką?

— Tak, sześć lat, słowo daję.

— I mąż nic o tym nie wiedział?

— Jakoś się udawało — objaśniła z uśmiechem.

— I pani nazywa zięcia dżentelmenem?

— W każdym calu.

— Droga pani — rzekłem cierpko — mówią, że mamy w Polsce dwie kultury, szlachecką i chłopską. Zaręczam, że w prawdziwie kulturalnym środowisku, wzrosłym czy to w chłopskiej ,czy w szlacheckiej kulturze, zięć pani mógłby uzyskać różne miana, ale wśród nich nie znalazłaby pani słowa dżentelmen.

— Tylko szubrawiec — chce pan powiedzieć — dokończyła prowokacyjnie i drwiąco.

Nie wytrzymałem prowokacji i wypaliłem w oczy:

— Tak jest, droga pani, coś w tym rodzaju, jak szubrawiec, łotr, złodziej.

Moja rozmówczyni nie obraziła się. Próbowała się odciąć.

— Taką opinię mógłby wyrazić tylko dziwak. Zaręczam panu, że wśród inteligencji mało jest ludzi w Polsce, którzy zajęliby takie stanowisko, jak pan i wobec tego zastanawiam się, do jakiej kultury pan by ich zaliczył.

— Trudno by tu było mówić o kulturze, ale jeśli już koniecznie mam używać tego terminu, nazwę to kulturą mętów społecznych, zdając sobie sprawę, że do tej kategorii należą i ludzie bardzo zamożni oraz dobrze sytuowani. Niestety, proszę pani, trzeba sobie zdać sprawę, że szkodliwe oddziaływanie żydów musi mieć swoje skutki.

* * *

— A teraz ja wam opowiem ciekawe zdarzenie — odezwał się pan Stanisław. Przed tygodniem byłem gościem młodego prawnika, który wydał ucztę z okazji szczęśliwego przebiegu egzaminu adwokackiego. Było nas siedmiu mężczyzn, kolegów i przyjaciół pana domu oraz trzy panie. W pewnej chwili użyłem wyrażenia:

— Kosztuje to dwa „dąbki".

— Dwa „dąbki" — rozległy się głosy — co to znaczy?

Okazało się, że nikt „dąbka" nie zna. Wyciągnąłem więc portfel i rzekłem:

— Proszę, oto jest „dąbek". Jak państwo widzą stuzłotówka posiada wizerunek drzewa i stąd poszła nazwa. A to są dwa półdąbki — uzupełniłem wyjaśnienia, pokazując dwie pięćdziesięciozłotówki.

Dwieście złotych w trzech banknotach trzymałem w palcach, gdy jedna z pań wyciągnęła rękę:

— Niech pan pokaże.

Wręczyłem banknoty i rozmowa toczęła się dalej. Widziałem, że pieniądze złożyła moja rozmówczyni na swoich kolanach. Po dłuższym okresie czasu, odezwałem się, wyciągając ku niej dłoń:

— Dziękuję pani za opiekowanie się moimi „dąbkami".

Dama wzięła banknoty do ręki tak niefortunnie, że upadły na podłogę. Parę osób schyliło się, aby wyręczyć winowajczynię. Za chwilę zwrócono mi pieniądze.

Okazało się, że do rąk dostałem tylko dwa banknoty. Jednego „półdąbka" brakowało.

— Coś tu jest nie w porządku — rzekłem tonem żartobliwym — upraszam szanowne towarzystwo o odszukanie brakującego banknotu.

Zaczęło się szukanie. Pięćdziesięciozłotówka zniknęła jak kamfora. Byłem wściekły, ale cóż miałem robić? Nie znalazła się i koniec.

* * *

Po opowiadaniu pana Stanisława zapanowała cisza.

— Czyżby ta pani... zagadnąłem aby coś powiedzieć.

— O nie! — zaprotestował pan Stanisław — znam ją oddawna i uważam za osobę stojącą poza wszelkimi podejrzeniami, to też gdy chciała mi zwrócić szkodę, odmówiłem przyjęcia pieniędzy.

— A więc któż mógł w takim razie?— niecierpliwił się pan Julian.

Autor opowiadania rozłożył bezradnie ręce.

— I tak wszystko rozeszło się po kościach? Zdarzenie nie ma żadnych konsekwencyj?

— Najmniejszych. Jakby się nic nie zdarzyło.

— No to jest możliwość, że to samo towarzystwo zbierze się jeszcze razem i to niejednokrotnie?

— Ależ naturalnie!

— Wiecie panowie, to okropne, przygnębiające, upokarzające — zaopiniował pan Julian: nie wiedzieć z kim się przestaje.

* * *

Teraz ja zabrałem głos:

— Opowiadał mi młody kawaler, że gościł u siebie dwie panny, solidnego pochodzenia, z przyzwoitego środowiska, z dobrych, szanowanych rodzin. Panny były w wieku uniwersyteckim i przyjechały obejrzeć fotografie. W pewnej chwili jedna z nich zawołała z rozpaczą:

— Co ja zrobiłam! O tej porze powinnam w domu przyjmować gości.

Młody człowiek zaproponował, że odwiezie pannę swoim autem, które stoi na dole. Jej przyjaciółka postanowiła zostać w kawalerskim mieszkaniu ,bo panicznie bała się szybkiej jazdy, wolała więc zaczekać na usługi dżentelmeńskiego młodzieńca, gdy powróci.

— No i co — niecierpliwie przerwał pan Stanisław.

— Ano, mój znajomy z kolei odwiózł drugą.

— No i co? — gorączkował się pan Stanisław.

— Zginęło z biurka 800 złotych.

— Niemożliwe — huknął pan Julian.

— Niestety, tak mnie zapewniano.

— W jakich my czasach żyjemy!!

* * *

— Znam tylko jeden rodzaj klubów towarzyskich — dowodził w dalszej części rozmowy pan Stanisław — które starannie przestrzegają doboru członków i zwracają uwagę na ich życie prywatne.

— Jakież to kluby?

— Korporacje studenckie.

— Kluby towarzyskie, pan powiada? Z takiego określenia niejeden korporant mógłby być niezadowolony.

— To postąpiłby niesłusznie. Grupować ludzi według ich wartości kulturalnych, dbać o ich pion moralny — to zaiste wielka zasługa i pożyteczna praca dla kraju.

— Korporacje, zdaje się, że idą po tej linii, choć może niezupełnie zdają sobie z tego sprawę.

— Powinny zdawać sobie jak najzupełniej. Nam potrzeba klubów. Na tle zwyrodnienia obyczajów dobrze jest grupować ośrodki ludzi z charakterem i wyraźnym pionem moralnym.

— Tymczasem jak grzyby po deszczu mnożą się kluby polityczne.

— I od biedy prosperują jeszcze karciane.

— Niestety.

— Ale warto by pomyśleć o grupowaniu ludzi według ich wartości prawdziwie kulturalnych. To nie jest, oczywiście, równoznaczne z aksamitnymi manierami, błyskotliwością w rozmowie, umilnością w obejściu. Prawdziwa kultura w innej dziedzinie posiada swoje najistotniejsze akcenty.

— Kto wie, czy rozwój zdrowego życia klubowego nie wywarłby też zbawczego wpływu na nasze życie polityczne?

— Mam przeświadczenie, że i w tej dziedzinie należałoby oczekiwać dużych przemian, bo nastałyby wtedy i w życiu politycznym czasy dżentelmenów i rycerzy.

— Kto by tego nie pragnął?...

W. D.

WERNER V. HEIDENSTAM

Gustaw Celsing

Przełożył **St. Miłaszewski**

Przebrany za ogrodnika, wyszedł sułtan na miasto, z koszykiem fig na głowie. Gwarzył z ludem, rozmawiał z janczarami, w końcu zaś udał się do ogrodów seraju, do matki.

Na jego widok sułtanka odgarnęła zasłonę z twarzy, pokrytej zmarszczkami, i rzekła:

— Cały lud łaknie wojny! Kiedyż zgromadzisz wiernych, aby dopomóc Lwu Północy w walce z carem? Rozkaż rycerstwu rozwinąć sztandar Proroka!

Sułtan postawił koszyk na ławie kamiennej i odparł:

— Zbyt mało znam twojego Lwa Północy! Wiem, że na ziemiach moich stanął jako zbieg, a jednak chwałę jego głoszą mężowie i niewiasty. Jakim-że to sposobem, (rozważam oto w myślach!) człek zubożały, samotny, wyzuty całkiem z potęgi i władzy, mógł zjednać serca ludu na ziemi wygnania? Nie mogę pojąć tego żadną miarą! A przecież, lubo to giaur niewierny, ze czcią podałem mu rękę i wojsko moje wysłałem przeciw jego wrogowi. W stolicy na wieść o wojnie zabrzmiały wiwaty, tysiączne światła błysły na minaretach. Wojska moje spotkały wroga nad Prutem... Bacznie racz słuchać, matko! Zawarto rozejm. Gdy rokowania miały się ku końcowi ujrzał mój Wielki Wezyr, że jakiś jeździec przebywa rzekę wpław i zdąża do obozu. Był to król szwedzki, który na czele rozbitków opuścił Bendery. Co się wówczas działo, wielki wezyr powtórzył mi wiernie... Dziś jeszcze głos mu drży na wspomnienie o tym... Bez pozdrowienia wdarł się bowiem król szwedzki do namiotu wodzów... Ociekający krwią, błotem oblepiony zajął w Radzie Dywanu zaszczytne miejsce pod chorągwią Proroka. Niby władca najwyższy rozkazał natychmiast, aby traktat rozejmu podarto na sztuki. Tak po świeżym pogromie poczynał sobie zbieg w cudzym obozie, o setki mil odległym od jego królestwa...

Pyszny, jak gdyby krańce pustyni arabskiej drżały na jedno jego słowo, wsparł łysą głowę o sztandar Mahometa, rozkazując mym wodzom, aby na nowo wszczęli bitwę. Pochmurno było dnia tego. Wiatr przenikał pod namiot i powiewał chorągwią... A wtedy pięści niewiernego, wzniesione w gniewie do góry, dotykały świętego jedwabiu. Powtarzam ci atoli: pokój zawarto!

Zmieniły się czasy... Bohaterowi temu słałem codziennie podarunki, postępowałem z nim jak z gościem, lecz on nie myśli powracać do swoich, z roku na rok przedłuża pobyt w moim państwie. Słusznie doradza wielki wezyr, aby nie obsypywać darami nienasyconych cudzoziemców, którzy nam nie na wiele się zdadzą. Ubodzy Szwedzi nie są w stanie dokonać wielkich czynów.

Teraz poznałaś, matko, prawdę!

Zmrok kres położył rozmowie sułtańskiej. Natomiast w domu Tomasza Funcka, posła przy dworze carogrodzkim, panowie szwedzcy radzili długo w noc. Półszeptem roztrząsano sprawy wielkiej wagi. O pierwszym świtaniu Funck, zniechęcony, odepchnął świecznik i rzekł do kapelana Agrella.

— Odczytaj nam ojcze wielebny jakibądź ustęp z Pisma świętego. Narady do niczego nie doprowadzą... Wyruszył niegdyś Wielki Wezyr w pole, ale mu kiesa ładowna i branki powabne, w sam czas przysłane przez cara, lepiej przypadły do smaku, niż bój, a zwłaszcza postrzałowa rana, jaką odniosło białe jego ramię. Nad Prutem nasypano w turban zdrajcy stos złota, przeto dziś Turcy rozżarci są na nas. Została jedna droga: oskarżyć go przed sułtanem. Nasz Gustaw Celsing zna język turecki, mógłby napisać skargę na wezyra, lecz któż ją złoży w ręce padyszacha? Sułtan co prawda, sam przyjmuje supliki, kiedy wraca z meczetu w piątek po nabożeństwie atoli bezrozumnym szaleństwem byłoby doręczać skargę na ulicy. Suplikanta schwytają straże. Grozi mu śmierć, jeśli nie udowodni, że każde słowo, które napisał jest prawdą. A któż tu w Carogrodzie, dowody zebrać zdoła bez pieniędzy... Dlatego rzekłem i powtarzam: Odczytaj, kapelanie, stronicę Biblii św., a potem każdy nich idzie na spoczynek.

Herman Termeden podsunął księgę Agrellowi.

— Szanuję szczerość bezwzględną — rzekł przy tym — muszę więc przyznać, że Funck, niestety, ma słuszność... Dajcie naszemu królowi skarbiec Francji, a z pomocą turecką w dwójnasób tyle prowincyj zdobędzie, wiele ich dotąd utracił... Nie dorównałby mu wtedy żaden z książąt na świecie. Nędza skuwała nam ręce. Czemże jesteśmy? Oto mocarstwem, w którym kostur żebraczy zastępuje berło.

Podczas owej przemowy Celsing, sekretarz poselstwa, w milczeniu siedział na szarym końcu stołu. Tuż za plecami miał okno, szczelnie zasłonięte. Jeszcze przed rozpoczęciem obrad napisał pokryjomu skargę na wezyra. Bezwiednym ruchem sprawdzał co jakiś czas, czy pismo nie wypadło z kieszeni surduta. Postanowił, że rankiem sam je doręczy sułtanowi, lecz nie rozstrzygnął jeszcze, czy ma ze swego zamiaru zwierzyć się towarzyszom, czy nie.

— Dnieje — rozmyślał w duchu. — Piątek przypada dziś właśnie... Za kilka godzin pojedzie sułtan do meczetu... Trzeba uważać pilnie: ten z nas, na kogo padnie pierwszy promyk słoneczny przez szparę w okiennicy, będzie mym powiernikiem... Może to jemu właśnie sądzono stać się narzędziem Opatrzności... Z całą ufnością otworzę przed nim serce.

— „A niewiasta przyobleczona była w purpurę i w karmazyn i uzłocona złotem i drogim kamieniem i perłami... I widziałem niewiastę, pijaną krwią świętych i krwią męczenników Jezusowych. A dziwowałem się, ujrzawszy ją, podziwieniem wielkim..."

Celsing zawstydził się, że słucha tego z roztargnieniem. Przecież nie odjął rąk od twarzy i trwał w zadumie, nieruchomy i sztywny. Z za okien dolatywał gwar budzącego się miasta: — echo czyjegoś stąpania, daleki plusk wioseł, poszum wiatru w kasztanach, śpiewne nawoływanie do modłów porannych.

Szczeliny w okiennicach gorzały teraz żywym ogniem. Celsing, wzruszony, nie śmiał drgnąć, bał się ręce oderwać od twarzy... Przez środkową szczelinę wdarł się pierwszy promień. Wąska smuga świetlna padła na jego własne ramię...

Zerwał się z miejsca. Żeby usprawiedliwić ten ruch nazbyt żwawy, wyjąkał obcym głosem:

— Słabo mi, mości panowie; odchodzę spocząć nieco!

Było dlań teraz jasne, że bez pomocy niczyjej sam jeden winien złożyć świadectwo prawdzie.

Dniało. Do izby Celsinga, umieszczonej tuż ponad salą obrad, przenikał przez podłogę donośny głos Agrella.

Celsing otworzył skrzynię zamczystą, pełną ubiorów tureckich, przechowywanych w ambasadzie po to, ażeby członkowie poselstwa mogli w razie potrzeby krążyć po mieście w przebraniu. Hafty bogate, pozłociste, lśniły na złotogłowiach i lamach. Celsing, zdecydowany się przybrać obcą modą, dość opieszale rozpinał swój mundur sekretarski. Złożywszy zdjęte szatki na łóżku, pożegnał stary surdut oczyma. A kiedy ujrzał na rękawie łatę podłużną, zakrywającą ślad moskiewskiego ciosu, kiedy rozpoznał na znoszonej podszewce ściegi, ręką matczyną uczynione przy zaszywaniu dokumentów i listów, wówczas zabrakło mu serca na rozstanie z odzieżą... Więc rzucił się na łóżko, w ramiona zgarnął drogie szmaty i twarz przycisnął do podszewki surduta.

— Boże, Boże! — wyszeptał. — Obarczyłeś nas, Szwedów, posłannictwem Twoim, abyśmy światu bezecnemu dowiedli, co sprawić zdoła ubóstwo, z czołem wyniosłym znoszone... Bo czyliż nie w ubóstwie leży przyczyna naszej klęski orężnej? Zali nie przez ubóstwo nosiliśmy się niegdyś tak górnie, iż u wszystkich narodów byliśmy we czci? Gdyby starczyło pieniędzy na przekupienie seraju, gdyby się wodze nasi nie sromali na kręte ścieżki wstępować, toć mielibyśmy pod sztandarem wszystkich żołnierzy sułtańskich! Za Twoim snać urządzeniem, o Boże Wszechmocny, krwią nam przystoi płacić za to samo, co car moskiewski kupuje za złoto!

Spod podłogi dochodził głos Agrella, czytającego Biblię:

— „I będą płakać i nad nią bić się będą królowie ziemscy, którzy z nią wszeteczeństwo płodzili i w rozkoszach żyli, gdy ujrzą dym spalenia jej: Z daleka stojąc przez bojaźń mąk jej, mówiąc: Biada, biada, miasto ono wielkie Babilon, miasto ono mocne: iż w jedną godzinę przyszedł sąd twój. A kupcy ziemscy płakać będą i żałować nad nią: iż towarów ich żaden więcej nie kupił. Towaru złota i srebra, i kamienia drogiego i pereł i bisioru i szkarłatu i jedwabiu i karmazynu i wszelkiego naczynia z kamienia kunsztownego i z miedzi i z żelaza i z marmuru... I cynamonu i kadzenia i maści i kadzidła i wina i oliwy i mąki czystej i pszenicy i bydła i owiec i koni i kolebek i niewolników i dusz ludzkich..."

Celsingowi stanęło w oczach „miasto wielkie". Ujrzał sułtana na koniu, ujrzał tłum ludzi i wreszcie siebie samego z listem w ręku... W następnym mgnieniu oka wydało mu się, że wielobarwne turbany przeobrażają się naraz w bławatki i stokrotki, kwitnące nad strumieniem we wsi rodzinnej... Kulawy synek ekonoma puszcza na wodę okręcik, wyrzezany z kory. Opodal dworek niewielki, na ganku siedzi matka rodzona i pokazuje mu surdut, w którym zaszyła dokumenty i listy... Zerwał się z łóżka, przetarł czoło ręką i rzekł na cały głos, jakgdyby, z nią, z tą matką, rozmawiał na jawie:

— Kochana moja! Choćby sądzone było Szwedom stać się igraszką i pośmiewiskiem ludów, choćby im przyszło włóczyć się po gościńcach o żebranym chlebie, to jeszcze życie dałbym za każdego z nich!

Z kimże to rozmawiasz, druhu? — nagle spytał go Agrell z poza drzwi. — Cóż to? Zamykasz się w izbie, nie powiedziawszy mi nawet dobranoc?

Celsing z pośpiechem zwinął swą odzież w tłumok i przymocował doń kartkę z napisem, iż wszystko, co posiada, przeznacza słudze wiernemu, aby czcigodny stary mundur szwedzki nie poszedł w obce ręce.

— Bracie miły! — zawołał do Agrella — nie bierz mi za złe, że się odosabniam... Jeszcze przez chwilę muszę być sam.

Co żywo wciągnął bufiaste szarawary tureckie, włożył pantofle i wdział kaftan wzorzysty. List do sułtana zatknął za pas, a głowę okrył kraśnym fezem. Następnie pocichutku otworzył okno naoścież.

Agrell co chwila ruszał klamką, myśląc z niepokojem: — Właściwie nikt z nas nie wie, co w sercu kryje Celsing... Takie to nieby nieśmiałe i ciche! Źle, źle byłoby, gdyby temu chłopcu świtać poczęły w głowie awantury.

— Bracie! Czyż tobie przystoją figle i jakieś żarty? Zawsześ miał serce czyste i głowę spokojną... I pocóż miotasz się w kółko po izbie, szczelnie zamknąwszy drzwi?

Celsing nie odpowiedział na to ani słowa. Ruchem zwinnym i nagłym chwycił oburęcz konar rozłożystego kasztana, rosnącego pod oknem i w mgnieniu oka ześlizgnął się na ziemię. Żal mu było, że odszedł bez pożegnania z druh...

Ostrożnie ruszył naprzód, bo w ogrodzie poselskim snuła się czasem cała sfora lokai, strojnych w błękitne kubraki, poobszywane sążnistym galonem. Owa świetność liberii maskować miała ubóstwo szwedzkiej legacji. Celsingowi udało się jednak wyminąć służbę całkiem niepostrzeżenie. Zręcznie przesadził niewysoki płot i pędem udał się na plac między Hagia Sofia i Serajem. Zmieszany z tłumem żebraków i kalek, siadł w cieniu drzewa, skrzyżowawszy nogi.

— Oto jest miejsce, które mi Bóg przeznaczył! — rzekł w duchu. — Ci kalecy na szczudłach, ci nędzarze co głazy gołe mają za wezgłowia, umocnią się na duchu i zbudowani będą ofiarnym czynem Szweda.

Utkwił wzrok w „Bramę Wzniosłości" *), przy której straż dzierżyli kapydży, rosłe chłopy w zbroicach damasceńskich. W niszy przybramnej sterczały na dwóch żerdziach głowy straceńców, jeszcze wilgotne od rosy. Na placu było coraz tłumniej. Celsing, obuty w niskie pantofle z safianu, musiał się wspiąć na palce, aby głowę wynurzyć ponad morze trabantów. Spojrzał na drugi kraniec Janczarskiego dziedzińca, ku „Bramie Uniżoności". Orszak eunuchów białolicych rozpychał mrowie ludzkie, torując drogę dla Najdostojniejszego. Brodaci ulemowie, odziani w ciemno-liliowe habity, agowie, otuleni w płaszcze barwy błękitnej, żołnierze w żółtych czapkach, z kształtu podobnych do stągwi — korzyli się i bili czołem przed bramą jeszcze zawartą. Stamtąd wynijść miał sułtan, Celsing pamiętał o tym... Kurczowo ścisnął w palcach kartkę, za pas zatkniętą. W uszach zadźwięczał mu mu ustęp, petycji, zamykający długą litanię skarg: „Słowa powyższe, bez wiedzy i pomocy niczyjej, napisał z czystej miłości ku prawdzie i dla pożytku rodaków — poddany szwedzki Gustaw Celsing".

Petycja owa mówiła o przekupstwach wielkiego wezyra, o karygodnych matactwach dostojników tureckich. Przecież, widząc przed sobą te niesłychaną mnogość kapiących złotem szat, gorzko żałował Celsing, iż nie napisał o dwakroć dłuższego regestru występków i zbrodni... W wyobraźni obaczył nędzny drabiniasty wóz, na którym jego monarcha, w gorączce tygodniami tłukł się po wertepach, mając wór siana za wezgłowie... Przypomniał mu się obóz rozbitków w Benderach... Starszyzna, generałowie, zmuszeni co noc prawie łatać własne mundury, a szwy zasmarowywać czernidłem, ażeby bieda szwedzka nie kłuła Turków w oczy. Jednakże zbiegom owym i nędzarzom kłaniali się posłowie mocarstw postronnych, a te oznaki czci były naówczas sprawiedliwsze po stokroć, niż korne hołdy tłumów, na które dzisiaj patrzyć mu przychodzi.

*) Bramy pałacu sułtańskiego miały różne nazwy.

Po chwili falowanie morza głów ludzkich ustało. Zapanowała niepokojąca cisza, przerywana kiedy niekiedy śpiewnym wołaniem muezzinów na Hagia Sofia. I nagle, ponad kopułę świątynną, ponad owo sklepienie niebieskie z kamienia, na podziw rzesz chrześcijańskich przed wiekami wzniesione, gdzie za każdym dwunastym rzędem cegieł zamurowane spoczywają kości błogosławionych męczenników, wzbił się okrzyk na cześć potomka Mahometowego. Celsing stanął na palcach, oparłszy się o szczudło najbliższego żebraka. Wytężył oczy... W rozwartej „Bramie Uniżoności" poznał zielony kaftan wielkiego wezyra, błękitno strojnych masztalerzy i szmaragdowe barwy przybocznych agów sułtańskich. Nieco dalej szli kaci w czerwonych opończach; za nimi podczaszowie i stolnicy z pompą dźwigali złocone konwie, tace i obrusy. Pod sztandarem Proroka jechał na koniu Achmed Trzeci, Władca Kwiecia Tulipanów, Pan Godów Weselnych, Celsing wzniósł białą kartę supliki wysoko ponad głową.

— Zmiłuj się nad szaleńcem, wielki Boże! ten nieszczęśliwy sam nie wie, co czyni! Stój! Stój! — wołali żebracy, czepiając się szat Celsinga. Jeden z kulawców zaczął okładać go kosturem. Celsing nie poczuł razów i nie usłyszał wrzasku... Roztrąciwszy janczarów, stanął przed sułtanem.

Władca wiernych miał przygarbione plecy, a twarz trupio-bladą. Źrenice jego przypominały mdłe światełka, płonące za szybą zamgloną. Zatrzymując konia, wyciągnął rękę. Suplikę ukrył w fałdach białej, adamaszkowej szaty, skórami czarnych lisów krytej.

Czerwoni mistrze porwali Celsinga. Janczarskim dziedzińcem poprowadzono go do turmy pod bramą Uniżoności.

— Ośmieliłeś się stanąć na drodze padyszacha — mówili doń po drodze. — Zali masz dowód, że wszystko, coś napisał, jest prawdą?

Celsingowi wróciła przytomność umysłu... Odparł bez drżenia i wahania:

— Dowody? Niech krew moja starczy wam za dowód!

Strażnicy, ciężko westchnąwszy, pokiwali głowami. Ledwie zniknęli za progiem, do celi wdarł się taki sam promyk słoneczny, jak tamten, który padł na Celsinga w czasie narady w poselstwie. Pokrzepiony na duchu, ślubował więzień, że mężnym czołem przyjmie kaźń.

Znalazłszy na podłodze okruszynę cegły, jął żłobić litery na tym miejscu ściany, gdzie zaświtał ów promyk - pocieszyciel. Przed zmierzchem zdołał sklecić zwrotczynę ubożuchną, wyznanie, więźniom jutrzejszym poświęcone:

„O chłodzie i głodzie
Na bój wiódł nas król.
Najlepsi w narodzie
Polegli do kul"...

O zmroku doleciało do celi stłumione echo muzyki. To w ogrodzie seraju, za trzecią bramą, zwaną „Wrotami Szczęśliwości", grały harty i fletnie.

Nanowo w duszę Celsinga wkradły się niepokoje i lęki... Jął mówić sam do siebie, bezradnie łamiąc ręce w samotności swojej:

W pobliżu mnie kobiety, śpiew, wesele... Gną się stoły biesiadne, jedwabie lśnią jak żądza w męskich oczach... Marność, marność. Czyliż nie zasypiałem szczęśliwy i spokojny, mając tylko swój stary mundur za wezgłowie... Są jednak na szerokim świecie pojęcia, których nie rozumiałem dotychczas. Ot, gdybym wolność odzyskał, mógłbym siąść w tłumie żebraków na murawie, lubować się widokiem zwinnych jaszczurek, słuchać szumu drzew... Serce! serce! głośno dzisiaj kołaczesz. Czemużeś było nazbyt ciche dawniej, kiedy dzień biały przyświecał jeszcze drogom moim?

Zapadła noc. Dłużyły się godziny bezsenne. Tęsknota wołała choćby o jeden głuchy mrok, chociaż za kratą majaczyła miesięczna poświata. Więzień legł na wznak na gołej podłodze. Zaszemrały mu w głowie dalsze strofy piosenki, której początek wyrył rankiem na ścianie. Postanowił, że skoro wolność odzyska, to wiersze owe przełoży i wyjaśni żebrakom pod wrotami seraju. Jeśli zaś oczy już nigdy w niebo jasne nie spojrzą, to niechże kiedyś do więźnia-rodaka ozwie się swojską mową ściana obcej turmy. Pełnym głosem zaśpiewał proste zwrotki na nutę wielkanocnej kantaty, zapamiętanej z dzieciństwa:

„O chłodzie i głodzie
Na bój wiódł nas król.
Najlepsi w narodzie
Polegli od kul.
W niewolę wróg ima
Starszyznę i młódź;
W pomroce gwiazd nie ma,
Więc, jeńcze, broń rzuć!
W Syberii dalekiej
Spytają: Ktoś zacz?
Żołnierza — kaleki
Ból mianem i płacz.

(Dokończenie na str. 6-ej).

Auguste Rodin

TESTAMENT

W listopadzie rb. mija dwadzieścia lat od śmierci znakomitego rzeźbiarza francuskiego, Augusta Rodina. Dla uczczenia tej rocznicy drukujemy nie tłumaczony dotychczas na polski „Testament" wielkiego twórcy.

Młodzi, którzy chcecie służyć pięknu, może radzi będziecie znaleść tutaj owoce długiego doświadczenia.

Nabożnie miłujcie mistrzów, którzy was poprzedzili.

Ukórzcie się przed Fidjaszem i Michałem Aniołem. Uczcijcie boską pogodę jednego, i drugiego — okrutny niepokój. Zdolność wielbienia jest jak najszlachetniejsze wino dla umysłów wybranych.

Strzeżcie się jednak imitowania waszych poprzedników. Szanując tradycję, umiejcie rozpoznawać to, co jest w niej wiekuiście płodnego: ukochanie Natury i szczerość. Oto dwie wielkie namiętności genjuszy. Wszyscy oni wielbili Naturę i nigdy nie skłamali. W ten sposób tradycja daje wam klucz, dzięki któremu unikniecie rutyny. To tradycja właśnie poleca wam nieustanne badanie rzeczywistości, broni was przed ślepym poddaniem się jakimkolwiek mistrzom.

Oby Natura była jedynym waszym bóstwem. Miejcie w nią wiarę bezwzględną. Pewni bądźcie, że nie ma w niej brzydoty i ograniczcie ambicje do tego, aby jej być wiernymi.

Wszystko jest pięknem dla artysty, ponieważ jego wnikliwe spojrzenie odkrywa w każdej istocie i w każdej rzeczy jej c h a r a k t e r to znaczy wewnętrzną prawdę, ujawniającą się w kształcie. Ta prawda jest samą pięknością. Badajcie nabożnie: niemożliwe, byście nie znaleźli piękna, skoro spotkacie prawdę.

Pracujcie z zaciętością.

— — — — — — —

Sztuka jest tylko uczuciem. Ale bez wiedzy o proporcji, objętości, kolorach, bez zręczności ręki najżywsze uczucie byłoby sparaliżowane. Czym stałby się wielki poeta w obcym kraju bez znajomości języka? W nowym pokoleniu artystów jest pewna ilość poetów, którzy niestety nie chcą się uczyć mówić. Z tego powodu potrafią tylko bełkotać.

Cierpliwości. Nie liczcie na natchnienie. Ono nie istnieje. Mądrość, uwaga, szczerość i wola — oto jedyne cnoty artysty. Wypełniajcie zatem waszą pracę, jak uczciwi robotnicy.

Pozostańcie wiernymi prawdzie, młodzi. Ale to nie ma znaczyć: bądźcie banalnie ścisłymi. Istnieje pewna ścisłość ujemna: jest to ścisłość fotografii i odlewu. Sztuka rozpoczyna się tam, gdzie jest prawda wewnętrzna. Niechaj wszystkie formy i wszystkie kolory tłomaczą wasze uczucia.

Artysta, który się zadowala złudzeniem optycznym i który niewolniczo oddaje szczegóły bez wartości, nie będzie nigdy mistrzem.

Jeżeli zwiedzaliście kiedy któreś Campo Santo włoskie, zauważyliście bezwątpienia, z jaką naiwnością dziecięcą artyści, powołani do ozdabiania grobowców, oddają się kopiowaniu w posągach haftów, koronek, splotów włosów. Zapewne, są dokładni. Ale nie są wierni prawdzie, ponieważ zapominają o duszy.

Prawie wszyscy nasi rzeźbiarze przypominają tych z włoskich cmentarzy. W pomnikach naszych placów publicznych odróżnia się tylko surduty, stoliki, krzesła, maszyny, kufle, słupy telegraficzne. Żadnej prawdy wewnętrznej, a zatem żadnej sztuki. Brzydźcie się tym tandeciarstwem.

Bądźcie głęboko i surowo prawdomówni. Nie wahajcie się nigdy wyrazić tego, co czujecie, nawet wówczas, gdybyście nie byli w zgodzie z pojęciami, które macie wpojone. Może nie odrazu będziecie zrozumiani. Lecz to osamotnienie nie potrwa długo; wkrótce otoczą was przyjaciele, gdyż ten, kto jest głęboko prawdziwy dla jednego człowieka, jest nim dla wszystkich.

Żadnych kaprysów, żadnych dziwactw w celu przyciągania publiczności: prostoty, naiwności.

Najpiękniejsze tematy znajdują się przed wami: te, które znacie najlepiej. Mój bardzo drogi i bardzo wielki Eugene Carrière, który opuścił nas tak szybko, był genialny w malowaniu swej żony i dzieci. Wystarczało mu uczcić miłość macierzyńską, aby być wzniosłym. Mistrzami są ci, którzy oglądają własnymi oczyma, to co cały świat już widział i którzy umieją dostrzegać piękno w tym, co dla innych umysłów wydaje się zbyt codzienne.

Źli artyści zakładają zawsze cudze okulary.

Wielką jest rzeczą być wzruszonym, kochać, spodziewać się, drżeć, żyć. Być człowiekiem — a potem artystą. „La vraie eloquence se moque de l'eloquence" mawiał Pascal. A prawdziwa sztuka śmieje się ze sztuki. Ponawiam przykład E. Carrière'a. Na wystawach większość obrazów — to tylko malowidła: jego zaś obrazy wśród innych wydają się oknami, otwartymi na życie.

Przyjmujcie krytyki sprawiedliwe. Poznacie je łatwo. Są nimi te, które was utwierdzą w odczuwanych już wątpliwościach. Nie poddawajcie się tym, których nie przyjmuje wasze sumienie.

Nie obawiajcie się krytyki niesprawiedliwej. Oburzy ona waszych przyjaciół i zmusi ich do zastanowienia się nad sympatią, którą was obdarzają, i którą będą okazywać tym zdecydowaniej, im głębiej poznają jej motywy.

Jeśli talent twój jest nowy, nie będziesz miał z początku wielu wyznawców, a zato tłum wrogów. Nie zniechęcaj się: zwyciężą pierwsi, ponieważ wiedzą, dlaczego cię kochają; drudzy nie wiedzą dlaczego jesteś im niemiły; pierwsi są zapaleńcami prawdy i bezustannie zjednują dla niej nowych stronników; drudzy nie okazują trwałego zapału dla swoich opinij; pierwsi są stali; drudzy chwieją się za lada podmuchem. Zwycięstwo prawdy jest niezawodne.

Nie traćcie czasu, Młodzi, na nawiązywanie stosunków światowych czy politycznych.

Zobaczycie wielu waszych współbraci, którzy dojdą do zaszczytów i majątku przez intrygi: to nie są prawdziwi artyści. Ale są między nimi ludzie sprytni, i jeśli podejmiecie z nimi walkę na ich terenie, stracicie tyleż czasu, co oni sami, to jest całe życie: nie pozostanie wam ani chwili na to aby być artystami.

Kochajcie namiętnie swoje powołanie. Nie ma nic odeń piękniejszego. Jest ono dużo, dużo wyższe niż ktokolwiek mógłby sądzić.

Artysta daje piękny przykład. Uwielbia on swój zawód: radość czynienia dobrze jest najcenniejszą jego nagrodą. Niestety, obecnie wmawia się w robotników, na ich nieszczęście, nienawiść do pracy i lekceważenie jej. Świat będzie szczęśliwy tylko wówczas, gdy wszyscy ludzie będą mieli dusze artystów, to znaczy, kiedy wszyscy znajdą radość w swoim posłannictwie.

Sztuka jest ponadto znakomitą lekcją szczerości.

Prawdziwy artysta wyraża zawsze to, co myśli, ryzykując nawet pogwałcenie utartych przesądów. Uczy w ten sposób otwartości podobnych sobie.

Otóż, pomyślmy, jak cudowną drogę postępu realizowaćby można, gdyby ludźmi rządziła absolutna prawda.

I jak szybko społeczeństwo pozbyłoby się błędów i brzydoty, którą wyznaje, i jak prędko ziemia stałaby się rajem.



Auguste Rodin. Wiek spiżowy.

Książka z placu boju

(O „Wolności słonecznej" E. Osmańczyka)

Książka wydana jest w Opolu na Śląsku dziś Niemieckim, co należy mieć na uwadze czytając te poezje formalnie wywodzące się z tego szczepu poetyckiego, którego ojcem jest Staff.

O ile jednak ustalona „obiektywna" rytmika tych wierszy nie przeładowanych metaforami, a zakończonych naogół nieodzowną pointe'ą, jeśli niekiedy zmysłowy „naskórkowy" sposób doznawania zbliża je do utworów Tuwima, czy Wierzyńskiego, to ze względu na ogólny ton duchowy tej książki nie można jej autora traktować jako jeszcze jednego epigona, czy pogrobowca Skamandrytyzmu. Takeśmy się już przez kilkanaście lat przyzwyczaili, że każdy debiut poetycki wypełniony jest przeżuwaniem własnych „prywatnych" radości i smutków „dnia dzisiejszego", lub co najwyżej ma charakter międzynarodowy. Takeśmy już przywykli, że słowo „Ojczyzna" rymuje się z „blizna" i jest uważane za dowód łatwizny literackiej, jeśli nie grafomanii, że jawnie podkreślona polskość utworu napełnia nas nieledwie przerażeniem. Z tym stanowiskiem walczy kilku najmłodszych poetów wyzwolonych już z orbity Tuwima, z tą postawą śmiało zerwał Osmańczyk.

Na kartach jego książki często przewijają się słowa „Polska". „Naród", „Ojczyzna", „Walczymy", „Wytrwamy", „Zwyciężymy"—jak u Małaczewskiego tak jak u Mączki,—ale poezja nie nabiera przez to charakteru patriotycznej kantyczki, nie staje się wycinaniem kurantów, a ta łatwość używania słów wielkich, ta pewna poufałość w podejściu do tematu podobna jest do koleżeńskiego zbliżenia między oficerem, a szeregowcem w okopach — jest prawem i skutkiem walki.

Tak jak u Małaczewskiego i tak jak u Mączki.

Nie wiem w jakim kierunku pójdzie i jak się rozwinie młody, rzetelny talent E. Osmańczyka — ale napewno nie będzie można powiedzieć o nim tego co zarzucał sobie najbardziej zresztą polski ze Skamandrytów, Feliks Przysiecki:

„Jak z książki zagubionej wyrwane
[ryciny
przeżyć moich młodzieńczych draż-
[niące wspomnienia
Jestem historią jednej zbłąkanej
[godziny,
która straciła łączność z całością
[istnienia

TOMASZ CHMYZOWSKI.

O „Buncie Absalona"

W ostatnim (42) numerze „Kultury" pisze p. Stanisław Helsztyński o nowej sztuce Stanisława Miłaszewskiego *):

Dramat Miłaszewskiego należy powitać z uznaniem dla kilku ważnych powodów.

Przede wszystkim dla tego, że czerpie temat z Biblii, co w literaturze polskiej zdarza się na ogół nie często.ż

Inaczej jest na Zachodzie. Stronienie od spraw Biblii nie służy do pogłębienia naszego życia kulturalnego, element religijny stanowi bowiem naturalne dopełnienie metafizycznych aspektów człowieka. Częste zwracanie się do Biblii przydałoby się naszej myśli kulturalnej szczególnie dzisiaj, kiedy opisywactwo i reporterstwo zalewają piśmiennictwo, ślizgające się po powierzchni życia..

Dlatego pomysł Miłaszewskiego sam już w sobie stanowił objaw bardzo dodatni. Tym więcej, że do tematu natury sakralnej zabrał się poeta wypróbowanego oblicza artystycznego. Toteż wątek biblijny zamienił się w jego rękach w utwór pełen nadzwyczajnej piękności językowej. Niezwykła maestria w operowaniu środkami sztuki wersyfikacyjnej, porywający dialog, iskrzący się żywością i prawdziwie tęczowymi kolorami raz po raz zamieniają dramat w improwizację.

Czujemy wprost in statu nascendi, jak żywioł wyniesiony z Ksiąg Królewskich, przeradza się w miazgę serdeczną, z której pod wichrem natchnienia urasta galeria żywych osób. To właśnie stanowi najsilniejszy urok dzieła...

Absalon jest przy nas wciąż obecny, wtajemnicza nas w głębię swoich przeżyć. Rozrósł się on w dramacie w kogoś, kto ma pełnię osobliwości... W swej nienawiści do sług Jahwe posuwa się do bluźnierstwa... Zdaje się, że zasadniczą tezą autora jest przedstawienie tragicznej walki niepospolitego człowieka z tradycją plemienną uosobioną przez kastę kapłanów...

Walka przybiera tragiczną formę. Najpiękniejszą jest odsłona dziesiąta. Włożył w nią poeta najwięcej swego osobistego ciepła. Dawid już przebaczył winowajcy, drży o jego życie ostrzega by nikt nie wyrządził mu krzywdy. Nie usłucha go brutalny wódz Dawida, Joab: dokonuje okrutnej egzekucji na synu królewskim. Śmierć jego na drzewie ma w sobie coś z Golgoty, nawet słowa umierającego przypominają słowa Chrystusa na krzyżu.

Nie poszedł autor w opracowaniu tematu drogą studiów, archaizowania, rekonstruowania... Wypełnił utwór treścią czysto ludzką, zhumanizował go i utragicznił. Nie wiem, jak dzieło wyglądałoby na scenie, w czytaniu robi wrażenie czegoś tęgiego i doskonałego.

*) Stanisław Miłaszewski. Bunt Absalona. Dramat w 10 odsłonach. Księgarnia św. Wojciecha, 1937, str. 209.

Wanda Miłaszewska

Tristan za kulisami

Z dużą umiejętnością pisarską i z dużą konsekwencją psychologiczną, w drugiej już książce o Ryszardzie Wagnerze *) podaje Alina Świderska czytelnikom dojrzały owoc wieloletniej niechybnie pracy, studiów prowadzonych nie tylko z pietyzmem kronikarki, lecz i znawczyni, lecz i wielbicielki genialnego kompozytora.

Wagner — a więc i wszyscy najbliżsi: Liszt, jego córki — Blandyna Ollivier, oraz Cosima Bülow, żona Hansa Bülowa, również muzyka i matka Danieli - Senty, nazwanej tak na pamiątkę pierwszej z wagnerowskich „heroin"... Cosima, w przyszłości druga żona twórcy „Pierścienia Nibelungów"..

Ale te dzieje należą już do następnego etapu przeżyć „Króla bez ziemi". Tak ochrzciła autorka drugi okres w życiu **mistrza,** pięciolecie „wieku klęski", (od 45-go do 50 roku życia Wagnera), wypełnione tułaczką.

Należy ono jednak niepodzielnie, pomimo oddalenia, do „Izoldy"— Matyldy Wesendonk. Poprzednie lata nacechowane nie mniej burzliwym pożyciem małżeńskim z Minną - Perliczką **) zakończone są właśnie pojawieniem się Beatryczy z Zielonego Wzgórza koło Zurychu.

Budowa trylogii (zapewne?) wagnerowskiej zaznacza się w obecnym tomie jeszcze wyraziściej. Dlatego widzimy mocną i przejrzystą konstrukcję całości. Dla tego upewniamy się, że liczne i przychylne głosy prasy z „Prometeusza i Perliczki", zamieszczone w urywkach na końcu książki, duży rozgłos, jaki tamta powieść zdobyła, — są żniwem z dobrze uprawionego pola.

Świderska obfitym materiałem kronikarskim gospodaruje jak kustosz, który cały inwentarz muzealny ma w pamięci i nie potrzebuje zaglądać do katalogu. Stąd lekkość narracji, stąd wyborne, jednym nieraz daniem wtrąconym, scharakteryzowanie trzecio-, a nawet czwartorzędnych postaci. Stąd nie tylko **życie,** ale i świetnie ujęta i pokazana wagnerowska epoka.

Jak i poprzednio, zaznacza autorka w przedmowie, że „nawet rozmowy układane są prawie wyłącznie na podstawie listów i pamiętników". Jednak niewątpliwą własnością Świderskiej jest wybór i układ materiału, pokazujący czytelnikom — jakże plastycznie! — mękę serdeczną i **żywą,** z której zrodził się „dramat muzyczny".

Te właśnie, a nie inne urywki z „Dziennika" Wagnera, te a nie inne wyjątki beznadziejnie smutnej i jakże dziwacznej — bo przez trzecią osobę prowadzonej! — korespondencji rozłączonych kochanków — sprawiają, że słowa Matyldy Wesendonk przy pożegnaniu z mistrzem, słowa z pierwszego aktu „Tristana": „mir erkoren, mir verloren" nie są już dla nas dźwiękiem mowy ludzkiej, ale jakby nutami z partytury...

Rolę Brangeny spełnia przyjaciółka obojga. Przez jej serce, nieobojętne zresztą również dla Wagnera, sączy się „rozmowa serc", które były, tak jedno jak i drugie:

„Dla mnie stworzone,
„dla mnie stracone,
„miłowanie wieczne..."

Oto słowa Ryszarda — Tristana, skazanego na tortury rozłąki, na nieukojoną mękę tęsknoty: (w powieści zaczyna się ten „dziennik" datą 3 września 1858 r. — w Wenecji).

„...Przez sztukę żyć Tobie na pociechę — oto moje zadanie... W ten sposób pozostanę Twoim i w ten sposób Ciebie także będę mógł uleczyć! Tu skończę „Tristana" na przekór złośliwości świata... Stąd pozna świat szlachetną, wzniosłą mękę najwyższej miłości, skargę najboleśniejszej rozkoszy. A potem, ubóstwiony, jasny i czysty, stanę przed Tobą — pokorny Twój przyjaciel.

...Ach, żeby choć parę słówek od Ciebie! Co tutaj w ogóle może doradzić „przyjaciółka"?... Oczywiście tylko to, co jej dozwala stosunek przyjaźni do w s z y s t k i c h zainteresowanych...

Ale... postąpiła także i zgodnie z Twoim życzeniem... A więc, m i ę d z y Tobą a mną — religia?... Dość na dziś! Spokoju!... Spokoju!..

...Zacząłem tedy. Od czego? Miałem z naszych pieśni tylko pobieżne notatki robione ołówkiem i nawet nie zawsze przegrywane, a tak nieczytelne... Nigdy nie stworzyłem nic lepszego od tych pieśni. I mało co z moich dzieł będzie można obok nich postawić...

Oczywiście, Wagner pisze o akcie drugim, nad którym, trawiony tęsknotą, a chwilami miotany rozpaczą, zaczyna pracować. A dalej; w listopadzie już:

...Gdy Cię proszę, żebyś mi dopomogła w tym lub w owym — to znaczy, że masz wierzyć, iż wszystko mogę tylko przez Ciebie... Z robotą moją źle bardzo... przekonałem się, że nie jest mi ona żadną pociechą, ani zapomnieniem... O wierzaj mi, że tylko Ty jedna istniejesz dla mnie naprawdę! Dzisiejszej nocy, gdy cofnąłem rękę z poręczy balkonu, to nie miłość do sztuki mnie powstrzymała... to byłaś Ty! Ty! I omal że się nie uśmiechnąłem: czyż nie słodziej byłoby umierać na Jej ręku?...

...Będzie żyła, ja zaś w nagrodę nie pożądam już niczego, tylko — żebym mógł umrzeć na Jej ręku...

Nie gniewaj się na mnie, Dziecko!..." „Wytrysły łzy, i ziemia na mnie znowu!..."

...Od wczoraj siedzę znowu nad Tristanem. Jestem jeszcze wciąż w drugim akcie. Ale... co to będzie za muzyka! Całe życie mógłbym tylko nad nią pracować! Och, jaka piękna i głęboka!... Nie chcę słyszeć, żebym ją miał kiedy skończyć. Ja w niej żyję wiecznie. A razem ze mną...

...Komponuję to tak, jak gdybym nad tym już tylko miał pracować do końca życia. Każda najdrobniejsza fraza jest dla mnie równie ważna, jak cały akt, tyle w to wkładam starania....

...Od trzech dni biedziłem się z tym miejscem: „W Twoim objęciu, tobą uświęcon"... i t. d. Po długiej przerwie w robocie, ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć, jak to miało być. To mi psuło humor i przeszkadzało iść dalej. W tem zjawia się krasnoludek (tak Wagner nazywał listy Matyldy W. — przyp.) i przybiera odrazu postać ślicznej Muzy. W jednej chwili rozjaśnia się wszystko. Siadam do fortepianu i od jednego zamachu piszę cały ustęp tak, jakbym się go przedtem nauczył na pamięć... Ostatecznie, przy bardzo ścisłej analizie, można tam znaleść pewne reminiscencje... przypominają się „Sny" ...Ale Ty mi to wybaczysz. Ty, Najdroższa... Nie żałuj nigdy tego, że mnie kochasz!...

...Nie! Nie żałuj tego nigdy!... Te płomienie gorzały świetlanie, jasno i czysto! Nie zamącił ich żaden blask posępny, żadne mgły obaw, żadne opary nie przesłaniały tego czystego ognia, który nikomu jeszcze nie płonął tak jasno i nikogo tak nie opromienił jak nas dwoje, i dlatego nikt o nim wiedzieć nie może!...

Oto własne słowa Wagnera. Opisy jego polskiej biografki nigdzie i w niczym nie umniejszają „Tristana" w życiu codziennym, byłego już — nieomal — męża Minny Perliczki, a przyszłego męża Cosimy Liszt - Bülow, której postać wyraziście i mocno zarysowuje A. Świedrska w drugiej części powieści.

Ale cała książka, mimo różnorodności typów, mimo bogactwa należy jedynie, wyłącznie do Matyldy Wesendonk, — do Izoldy...

Za piękny tom o „Królu bez ziemi" należy się autorce wysokie uznanie i wdzięczność, — tym większa, iż po sukcesie, jaki zdobyła pierwszą swą „wagnerowską" pracą, następna wydana jest jej własnym nakładem.

Czy na geniusz Wagnera, czy też na dobre dzieła literackie obojętni są nasi wydawcy? Niewątpliwie lepszy smak artystyczny wykażą czytelnicy, ci zwłaszcza, którzy zapoznali się już z „Prometeuszem".

*) A. Świderska, — Królowie, — powieść z życia i epoki Wagnera. Skład gł. Bibl. Polska.

**) Recenzję z „Prometeusza i Perliczki" zamieściliśmy w marcu r. b.

Chropowatości

PIRACI W ETERZE.

Szczęśliwiec, który posiada dobrą superheterodynę i po naczytaniu się o piratach śródziemnomorskich, chciałby naprzykład posłuchać doskonalej muzyki, którą na krótkich falach nadaje np. Radio Kolonialne Francuskie nastawia swój aparat i... wtedy może się przekonać, że istnieją również p i r a c i w e t e r z e.

Bo są i tacy. Spróbujcie w godzinach porannych, południowych, we wszystkich wreszcie porach dnia „połączyć się" np. z Paryżem, aby wysłuchać zapowiedzianej w programie sonaty skrzypcowej, lub recitalu śpiewaczego. Po kilku nieodzownych gwizdach j e s t e ś już na właściwej fali. Niewątpliwie. I nagle słyszysz nieznośny wrzask (bo głosem tego nazwać nie podobna) jakieś moskiewskiej, czy leningradzkiej żydówki, zapytującej jakiegoś „towariszcza": — Kak pażywajetie? A? Czto takoje? A? Pawtaritie, pawtaritie Salamon Salamonowicz!

Sprawdzasz długość fali. W porządku. Przesuwasz strzałkę nieco w prawo: słychać nikły, zgłuszony przez prywatną bolszewicką rozmowę ton skrzypiec. Zaraz „obok" sąsiedniej krótkofalowej stacji angielskiej rozsiadł się drugi intruz i ryczy po rosyjsku zapijaczonym głosem: Zapiataja, zapiataja! Słowo to oznacza przecinek. Istotnie, p r z e c i n a c i możność wysłuchania audycji, mimo że dzień, wedle informacji PIMowych — idealny. Żadnych atmosferycznych zakłóceń, żadnych trzasków.

Trzeszczą za to p i r a c i bolszewiccy w eterze. Nie zostali w swoim czasie przyjęci do konwencji radiowej. Korzystają teraz z przywileju „dzikich", szastają się po całej „skali" krótko i średnio i długofalowej, wjeżdżają w uszy warszawianinowi na fali kijowskiej, wciskają się jak natrętnie bzykające bąki, w cudze „działki eteru".

W eterze, prawda, robi się tłok. Krążą po nim olbrzymie „transatlantyki" o sile tylu a tylu kilowatów, jak również zwinne „motorówki" radioamatorów. Każdy centymetr fali jest już cenny i narody układają się między sobą o miejsce jeszcze niezajęte. Ale nikomu nie przychodzi na myśl, p o t o budować nową stację, aby przeszkadzać innej.

Wynalazek ten należy bezsprzecznie do Sowietów. Korzystają z niego w całej pełni, grasując w eterze i mącąc, nawet w tak delikatnej materii, spokój i ład i możność pokojowego załatwienia sprawy radiowej.

Ludzie, niezaproszeni np. na podwieczorek wspólny, kontentują się filiżanką herbaty we własnym domu. Ale są i twory o specjalnej psychice, którym właśnie sprawia największą satysfakcję podejść pod cudze okna i tam — w sposób łobuzerski manifestować własne istnienie.

Zaiste, w wyjątkowych żyjemy czasach: piraci, którzy dotąd grasowali tylko na morzach, panoszą się już nawet w e t e r z e.

SOWA.

TEATR NA PRADZE.

Akcja Katolicka uruchamia przy kościele św. Floriana teatr z udziałem szeregu artystów z P. Z. A. S. P. i Polzawidu. Praca nowego teatru zainaugurowana będzie widowiskiem „POCHÓD DUCHÓW" pióra E. Rubercha dn. 31.X. o godz. 19 wiecz., dn. 1.XI. (dwa przedstawienia) o godz. 17 i 19 wiecz. i 2.XI. o godz. 19.

Przez Sowiety w „czapce niewidce"

Jestem jednym z nielicznych obywateli Państwa Polskiego posiadających dyspensę na czytanie prasy bolszewickiej. To zdanie można odwrócić i wtedy będzie brzmiało jeszcze cudowniej — Jestem czytelnikiem prasy sowieckiej, jak bym był par excellence obywatelem sowieckim i mimo to nie grożą mi inne dobrodziejstwa regimu sowieckiego: nikt mnie nie zadenuncjuje, że jestem trockistowsko - bucharinskim szkodnikiem, i nie zainteresuje się moją burżuazyjną genealogią.

Otrzymuję szereg najpoczytniejszych i wzorowo — jak na stosunki sowieckie — postawionych czasopism: „Litieraturnyj Sowremiennik" — czołowy miesięcznik literacko - społeczny, (coś w rodzaju „Revue des deux mondes" ale o parę pięter niżej), „Krokodił" — jedyne w Sowietach czasopismo satyryczne (nie humorystyczne), „Wokrug Swieta" — wzorowy miesięcznik podróżniczy dla młodzieży, „Wiestnik Znanija", coś w rodzaju naszego „Wiedza i Życie" i wreszcie dzienniki. To zupełnie wystarcza dla człowieka, który od biedy potrafi czytać po sowiecku i między wierszami.

*

Inteligent znowu jest bohaterem większości sowieckich nowel. Wprawdzie jest to inteligent bardzo szaraczkowy, bardzo „błagonadiożny" i „całą duszą oddany sowieckiemu reżimowi", czyli poprostu strasznie zabiedzony i zahukany, ale bądź co bądź inteligent, choć w najdrobniejszym wydaniu. Stara się otoczyć pewnym, choć bardzo prymitywnym komfortem, czyta (nieszczęśliwy człowiek skazany na czytanie wyłącznie sowieckich książek), uczęszcza do teatru, na odczyty, sam wygłasza prelekcje i jak ognia boi się prasy, najbardziej złośliwej i najbardziej potężnej (w szkodzeniu szaraczkom) na całej kuli ziemskiej. Jak wygląda poziom tych odczytów i jak prasa likwiduje chwilowych wybrańców losu opowiada nam dowcipna nowelka W. Ardowa — „Kultura Dnia Powszedniego" („Krokodił" 2/37).

Kierownik klubu robotniczego uskarża się przed swoim znajomym, że brak mu prelegentów. Właściwie ma dwóch, ale jeden gada w kółko o Abisynii, a drugi o tyfusie brzusznym. Słuchacze mają dość już i jednego i drugiego. Na to rozmówca poleca mu swego szwagra, Wniezapkina, bardzo uczonego człowieka, który nawet był na weterynarii, ale go stamtąd wylano. Wezwano więc Wniezapkina i kazano mu wygłosić odczyt z dziedziny astronomii. Wniezapkin odczyt wygłosił, jak — to co innego. Bądź co bądź ośmielony wyrozumiałością słuchaczy (którzy oczywiście nie mieli najmniejszego pojęcia o przedmiocie prelekcji) zaczął objeżdżać ze swym odczytem wszystkie okoliczne kluby, pobierając za to sute honoraria.

— „Ja, towarzyszu — oświadczał na wstępie — od dwóch lat z górą pracuję na froncie kulturalnym i powiem wam z własnego doświadczenia, że lektor bez afiszu, to nie lektor. O proszę! tu jest mój afisz, tu i tezy i nie tezy i w ogóle wszystko... Podstawcie tylko nazwę waszego klubu, o której godzinie i którego dnia...

— Hm... „Kosmos jako takowy — jedyna prelekcja profesora W. K. Wniezapkina"... Profesor to wy — towarzyszu?

— A niby kto?

— A przepraszam, gdzie Wy jesteście profesorem?

— Jakto gdzie? Jeżeli, na ten przykład, wygłaszam prelekcję od dwóch lat. Prelekcje wygłaszają tylko profesorowie, albo jak ich tam... docenci.

— Docenci?

— Właśnie. Ale docenci oczywiście to już nie to... powagi mają mniej, no i pozatem inna... jak to się nazywa?...

— Inna cena?

— No tak, cena i pozatem erudycja. Co docent wie, o tym profesor już dawno zapomniał.

— Hm. No, dobrze... „Teza pierwsza: Dlaczego nikt nie może dać susa na księżyc. Teza druga: Całkowity asortyment planet i gwiazd. Teza trzecia: Co robić z plamami na słońcu. Teza czwarta: Tajemnicze otoczenie planety Saturna". Hm...

— No, towarzyszu, co chcecie to mówcie, ale tezy mam pierwszorzędne, każda jedna dobra."

Ale pewnego razu towarzyszowi Wniezapkinowi nie powiodło się. Skrytykował go miejscowy dziennik, i wykończył chłopa odrazu. Nieszczęśliwy „profesor" pobiegł do swego pierwszego protektora, kierownika klubu Jewstigniejewa. Ale i tu spotkała go odmowa:

— Zrozum, głupi, że nie mogę już ciebie zaangażować.

— Towarzyszu Jewstigniejew! Przecież to wy w porozumieniu z moim szwagrem zaangażowaliście mnie do wygłaszania odczytów.

— Zaangażowałem, a teraz nie mogę. Kim ty wtedy byłeś? Niczym. Szwagrem swego szwagra. A kim jesteś teraz? Napiętnowanym przez dzienniki profesorem Wniezapkinem. Przyślij mi tu którego ze swoich szwagrów, a ja mu przez dam salę i afisze każę wydrukować: ale ciebie już nie mogę zaangażować, choćbym chciał. Jeżeli teraz będziesz przechodził przez ulicę Sowiecką, to zajdź, jeżeli łaska, do felczera Łoponogowa i powiedz, żeby przyszedł wygłosić odczyt o tyfusie brzusznym".

*

Tak — w łagodnym zniekształceniu humorysty — wygląda w praktyce szeroce w Rosji hasło: „Kultura dla mas". Na tym samym poziomie stoi sowiecka produkcja przedmiotów codziennego użytku, masowo zakupywanych przez sowieckiego konsumenta. Przytoczę tu na dowód bardzo pouczającą nowelkę W. Sieligriejewa „Awaria" („Krokodił" 23/37).

Wańka Żukow najechał rowerem na robotnika fabryki rowerów Bieriezina, wywrócił się i boleśnie potłukł. Obie ofiary katastrofy przewiozło pogotowie do szpitala, gdzie ułożono je obok siebie.

— Smarkaczu jeden! — wygrażał Bieriezin. — Jak widzisz, że idzie człowiek, to powinieneś zahamować, a nie najeżdżać na niego!!

— A czym ja zahamuję, kiedy hamulec nie działa!? — krzyknął Wańka. — Nosem nie zahamuję! Ja całą fizjognomią na asfalcie hamowałem. Widzisz, że cały jestem zakrwawiony.

— Ty mi bajek nie opowiadaj — jako ofiara katastrofy Bieriezin uważał za punkt honoru przekrzyczyć swego rozmówcę — jak nie umiesz hamować, to nie siadaj! Ja na rowerach znam się lepiej niż ty — sam pracuję w fabryce rowerów. Rower — to mądra maszyna, a ty nią ludzi przejeżdżasz, czekaj, da ci Sąd Ludowy!... Siostro, proszę przynieść papieru, zaraz napiszę podanie — zobaczy on u mnie co to ludzi przejeżdżać!

— Nie kłóćcie się, towarzysze — wtrącił trzeci chory. — Pozostaniecie tu jeszcze ze trzy dni, a wy chcecie całą złość w pierwszy dzień wyładować. Chcecie to wam opowiem jedno zdarzenie?

— Niech opowie! on dobrze opowiada — odezwało się parę głosów. — Ciszej wy, rowerzyści!

— A sprawa była taka — zaczął chory, siadając na łóżku — kupiłem sobie na wiosnę buty. Oczywiście włożyłem je — buty dobre, nosy błyszczą, jednym słowem — nie mogę narzekać. A po dwóch dniach buciory najspokojniej w świecie rozwaliły się. Więc myślę sobie — jaki to łobuz, nie uświadomiony klasowo, mógł taką niezdatną do użycia parę zmajstrować. Nie rozumie, że dla siebie samego robi. Trzeba takiego szczego synа znaleść i żeby go przykładnie ukarali. Idę więc do fabryki obuwia i mówię tak i tak: towarzysko ekspedientko buciki są źle zrobione. Obejrzeli buciki i mówią: „Tak istotnie — to wina fabryki, musimy zmienić". Zmienić to co — odpowiadam — ja to zawsze zdążę. Chciałem tylko zobaczyć co za łobuz te buty robił. Czy się przynajmniej tego wstydzi. No, poszukali w książkach, sprawdzili numer i zaprowadzili mnie do jednego robotnika.

— Cóż to — wsiadłem na niego z góry — to ty takie buty na rynek wypuszczasz?

— Przepraszam — odpowiada — ojczulku... Stało się to nie z mojej winy. Otrzymałem nową partię dratew, jedną parę uszyłem — widzę: dratwa jest zgniła, więc zareklamowałem, ale tę parę uszytą puściłem na rynek. Przepraszam, ojczulku, myślałem, że jakoś tam będzie.

— Skąd dratwa — pytam.

— Z takiej to fabryki.

No więc ja w te pędy lecę do tej fabryki.

— Patrzcie towarzyszko — wołam — buty przez dwa dni nosiłem i porwały się przez waszą przeklętą dratwę.

— Wybaczcie odpowiada — jedna skrzynka istotnie była taka sobie. Zgniła... ale to z winy fabryki skrzyń. Skrzynię zrobili słabą, więc na deszczu przemokła i oczywiście zgniła dratwa.

Nie słuchaj dalej i jak w dym do fabryki skrzyń. Ładne buciki przez was mam — mówię.

— Bucików my nie robimy — oświadczają mi.

— Ale rozwalające się skrzynie robicie?

— Istotnie, jedną partię słabych skrzyń puściliśmy, ale to nie nasza wina, to fabryka gwoździ winna: przysłano partię gwoździ, a między nimi 5 kg zepsutych, ledwie główki trzymały się.

— A — wołam uradowany — gwoździe! Na gwoździach to ja się znam. Sam gwoździe robię i na gwoździach nikt mnie nie oszuka! Teraz dobiorę się do tego łobuza, co robi złe gwoździe, a przez to są złe skrzynie, a te skrzynie rozwalają się i przez to dratew gnije, a potem buty szyte tą dratwą rozwalają się. Pokażcie no te gwoździe.

Pokazują mi gwoździe, patrzę na nie i przypominam sobie...

Gwoździe te to ja sam robiłem... to ja puściłem na rynek 5 kg tandetnych gwoździ... główki ledwie trzymały się, ale ja sobie myślę, że jakoś tam będzie.

Postałem chwilę i poszedłem zawstydzony do domu... butów już nie zmieniałem — myślę sobie: „Dobrze ci tak łobuzie, noś teraz podarte"!

— Siostro! siostro — zawołał nagle potłuczony przez rower Bieriezin.

Siostra pospiesznie przybiegła.

— Siostrzyczko — szepnął jej z tajemniczą miną Bieriezin — proszę dać mój deser temu chłopakowi co na mnie najechał rowerem. I pozatem... w przedpokoju stoi jego rower... Tam na tylnym kole jest podany numer kontrolny, i fabryczny numer też podany — więc proszę mi powiedzieć, jeżeli łaska, bo to dla mnie bardzo ważne...

Ale ciekawszy, niż wiadomości o gatunku fabrykatów sowieckich, jest styl i rodzaj tego propagandowego opowiadania, mającego uczyć obowiązków solidarnej obywatelskiej, w myśl maksymy: leniwy i niesumienny sam sobie szkodzi. U nas, w świecie „burżuazyjnym" podobnie całkiem pisali niegdyś tacy autorzy dla młodszej dziatwy, jak ks. kanonik Schmidt i Stanisław Jachowicz. Odbudowę zniszczonych zasad życia społecznego, zaczyna się gdzieś w Rosji od początku.

BOHDAN GĘBARSKI.

TYGODNIK LITERACKI

WAŃKOWICZ O MAZURACH.

„Na tropach Smętka" M. Wańkowicza [1]) da się w pewnym stopniu porównać z pracą Tetmajera. Wzniośliszy się ponad reportaż do nowożytnego, tworzonego przez siebie typu polskiej gawędy, autor wprowadził tę polską krainę tysiąca jezior do literatury, do której wprowadzić jej nie mogły dotychczasowe poczynania — zasłużonych narodowo, ale artystycznie przecież bez znaczenia — paru „piśników" z Olsztyna, ani nawet badania paru lingwistów nad mazurską gwarą. Literatura ta w ogóle nie może dotąd poszczycić się należytym wyeksploatowaniem odrębności regionalnych naszych ziem zachodnich — obecnie możemy nazwać Mazury Ziemią Wańkowicza w tymże stopniu, co G. Śląsk Ziemią Gojawiczyńskiej.

Przede wszystkim atoli uderza głęboko katolicki charakter „reportażu"; literat ze środowiska, dla którego nawet zewnętrzne formy — katolicyzmu były zawsze stygmatami polskości, doskonale mógł wczuć się w bolesny problem obcości duchowej Mazura w stosunku do swych rodaków, wywołanej odrębnością religijną. Od siebie dodać muszę, że odrębność ta nie wydaje się zbyt głęboka — wiadomo w jakich warunkach, Albrecht Hohenzollern za aprobatą samego Lutra „ewangelizował" swe księstwo; ostatecznie i dziś wyznanie Mazurów tkwi mocno jedynie w pewnej ilości fanatycznych rodów pastorskich, częściowo niemieckich. Do duszy Mazura nie wchodzi się tak łatwo — więc nie możemy ręczyć, czy dusza ta nie pozostała jeszcze tak samo katolicka, jak dusze jego przodków, z których „nowinki" Lutra nie zdołały wyprzeć kultu Matki Boskiej.

[1]) W ub. n-rze zamieściliśmy w imię dania każdemu swobody wypowiedzenia się, list z Ziemi Mazurskiej w sprawie ostatniej książki p. M. Wańkowicza — obecnie podajemy inny głos, zajmujący wobec tej książki zupełnie odmienne stanowisko. Autor zaznacza przede wszystkim katolickie nastawienie obserwacji p. Wańkowicza, które już naraziło go na pewne krytyczne głosy, odcinające się od uznania reszty polskiej opinii tak jednomyślnej, że łączy p. Mackiewicza z p. Niedziałkowskim i p. Z. Wasilewskiego z p. Kaden-Bandrowskim.

Red.

WARTA NAD WARTĄ [2]).

Pracy tej poświęcimy recenzję obszerniejszą — już teraz atoli chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników na to nowe Silva Rerum znakomitego publicysty. Czegoż tam nie ma! I o „oświeconym obszarniku" wielkopolskim z XVII w. i o stosunku Lutra do Żydów poznańskich i o perorach Opalińskiego „na złe życie małżeńskie i rozwody", o antysemickich i komunistycznych motywach w Staszycu; dowiadujemy się, że ujęcie naszego języka w karby gramatyki zawdzięczamy Poznańczykom i że Heine wrócił duchowo do żydostwa dopiero przez pobyt w Polsce i o stosunkach tegoż Heinego z wielkopolską magnaterią i o udziale Wielkopolan w powstaniu 1830 r. i że inicjatorem słynnego piętnowania powstańców wielkopolskich w 1848 r. kamieniem piekielnym [3]) był żyd Lippowitz, że jeden z Kościelskich został paszą egipskim — i że pierwszy nasz kronikarz Gallus żył w Poznaniu — jednym słowem, jest to ogromne muzeum i panopticum wielkopolskiej obyczajowości i kultury.

ASKOLD.

[2]) A. Nowaczyński: Warta nad Wartą — Poznań, 1936, str. 243.

[3]) Obszernie i z obrzydzeniem opisywał to Karol Marx w „Neue Koelnische Zeitung".

KINO

„ICH STU I ONA JEDNA"
W ATLANTICU.

Ktoś kto widział przemiłą gwiazdeczkę amerykańskiego filmu *Deanne Durbin* w jej poprzednim obrazie, nie mógłby przypuszczać, że wzniesie się ona na takie szczyty prawdziwego, głębokiego artyzmu, jaki zaprodukowała w filmie obecnie wyświetlanym w Atlanticu.

Widz od początku do końca oczarowany jest czystością i kunsztem gry aktorskiej tego piętnastoletniego dziecka, gry wyzutej z wszelkiej sztuczności, emfazy, nieszczerości.

Łzy maleńkiej Penny, to są prawdziwe łzy dziecka, z którego zakpiono, uśmiech jest prawdziwym uśmiechem, a śliczny wdzięczny głosik gwiazdeczki zwłaszcza w Aleluja Mozarta, podbija nawet najbardziej zatwardziałych cyników i sceptyków.

Oprawa muzyczna doskonała.

Świetna orkiestra pod mistrzowską dłonią (pałeczki nie używa) dyrygencka Stokowskiego produkuje w świetnej formie urywki Lohengrina, Traviaty, Węgierskiej Rapsodii.

Reszta aktorów na bardzo wysokim poziomie. Menjou bardzo przyjemny jako kochający ojciec, zabiedzony, bezrobotny muzyk. Mische Auer—doskonały flecista orkiestry bezrobotnych. Typy świetnie dobrane, reżyseria znakomita.

Przyjemnie pisać sprawozdanie o filmie tak dobrym, miłym i przyjemnym. W powodzi obrazów, którymi zalewa nas Ameryka, „Ich stu i ona jedna", jest perłą najczystszej wody.

Co tu dużo pisać. Trzeba pójść i zobaczyć.

SCYPION AFRYKAŃSKI.
COLOSSEUM.

Zdaje mi się, że Scypion mógłby być wyświetlany jedynie chyba tylko w Colosseum. W żadnym innym kinie warszawskim nie mógłby się pomieścić.

Przewalają się straszne tłumy. Reżyser ściągnął przed jupitery wytwórni chyba wszystkich bezrobotnych faszystów, którzy przez dwie godziny wzajemnie na siebie krzyczą, podnoszą ręce, zgodnie maszerują i biją się.

Film jest męczący i bez żadnej właściwie akcji. Wątek historyczny przedstawiony nieudolnie. Sceny zbiorowe dominują, niestety nie są o tyle ciekawe, żeby nie zmęczyć.

Wielu starszych panów z zażywnymi brzuszkami snuje się po ekranie (co młodsi są pewnie w Abisynii), wyciąga na powitanie po rzymsku ręce, by za chwilę robić to samo ale już po stronie kartagińskiej.

Sceny bitewne nie mają żaru i prawdy. Biedne słonie wypuszczone na zgraje łuczników i oszczepników zostały pewnie w zamieszaniu dokładnie pokłute, ale i to jakoś wypadło blado, może i dlatego, że cały film odbywa się w jakimś dyskretnym półmroku.

Publiczność zgaduje.

Ten pan z bródką to pewnie Hannibal, tamten to Hasdrubal. Ten czarny opryszek to nikt inny tylko Massynissa. Złamanego szeląga nikt jednak za to nie da, bo zdjęcia tak podłe i ciemne, że trudno się czegoś domyśleć.

Może po powrocie Mussoliniego juniora film włoski będzie lepszy. Na razie nie lepsi oni od naszych rodzimych Lejtesów.

TEDDY.

Gustaw Celsing

(Dokończenie).

Niedoli ciemięskiej
Doznaje król — wódz.
W stu bitwach zwycięski
Nie zdołał klęsk zmódz.
Na obcym barłogu,
Witeziu, skroń złóż,
Snij pomstę na wrogu....
Przyjdź, Szwecjo, i spójrz!

Nagle blask czerwonawy padł mu na rękę, przytuloną do piersi. Zerwał się z miejsca. Czyżby świtało nareszcie?

Czerwonawe światełko to tu, to tam błyskało się po ścianie. I poza drzwi słychać było odgłos ludzkich kroków. Światełko zgasło, klucz w zamku zazgrzytał.

Do celi wszeli dwaj niewolnicy sułtańscy z pochodniami. Jeden z nich u stóp więźnia położył zawiniątko, mówiąc:

Padyszach pozdrawia cię w łasce. Szwedów i króla twego ma we czci, jak dawniej. Ciebie uważa nie za więźnia, lecz za gościa. Nad pismem twoim zastanowić się raczy. Przywdziej z powrotem szaty, jakie ci przystoją, i pójdź do dom w pokoju!

Celsing pochylił się ku ziemi. Rozwinąwszy tłumoczek znalazł w nim ukochaną odzież szwedzką. Podniósł do światła surdut, aby go lepiej rozpoznać i przywitać. Kiedy zaś dostrzegł na rękawie ślad szabli, a na steranej podszewce resztki nici matczynych natychmiast zrzucił tureckie aksamity i wdział czcigodny, stary ubiór swój wojskowy.

Z odkrytą głową wyszedł z ciemnicy na dziedziniec, zalany księżycowym światłem. Mijając Bramę Wyniosłości, skierował krok swój ku drzewu, pod którym spoczywali żebracy. Pierwszego z brzegu — a był to starzec siwowłosy — chwycił w ramiona i ucałował, mówiąc:

— Nie znasz mnie, a przecież rodakiem mym się stajesz, ilekroć sprawiedliwy uczynek spełnić ci się zdarzy. Poznaj drogę, wiodącą na wyżyny ducha! Wiedz, nieraz widywałem króla mego narodu, gdy tak jak ty spoczywał z kamieniem pod głową.

Redaktor: Jan Rembieliński
Kierownik działu literackiego: Stanisław Miłaszewski.
Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z o. o.
7609 DRUKARNIA GOSPODARCZA, WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 79. TEL. 8-84-12, 8-28-02.